

RELACJA

Wojciecha Zakrzewskiego
nagrana 13 lutego 1992 w Słupcy
przez Małgorzatę Strasz i Tomasza Gleba

© ARCHIWUM WSKRÓCIE

I/108

Zacznijemy od 1944 roku, jak przyszli do nas Rosjanie. To było w czerwcu. Powołano nas do wojska, brata i mnie. Odsłużyliśmy w polskim wojsku, razem, w IX Dywizji. Najpierw nas zawieziono do Związku Radzieckiego, to była Iwanowska Oblast, tam formowano jednostki, lotewskie i polskie miały być. Ale najwięcej tam rosyjskich jednostek, młodzież, poborowi. Rosyjskie jednostki miały 2 tygodnie przeszkolenia i wszystko szło na rzeź, na front. Ale nas nie. Nas początkowo niby wszystkich Polaków tam nawieźli, przeważnie Polacy z tamtych stron, Wilno, tamte województwa – obecnie należą do Białorusi, do Związku Radzieckiego.

Trzymano nas i zaczęto prowokować, żebyśmy wstąpili do rosyjskiej armii, [założyli] mundury rosyjskie. My pod żadnym pozorem tego nie chcieliśmy. Tam nas straszono i strzelano, i bito, gnębiono, i aresztowano kto był bardzo oporny, jednak myśmy się nie dali.

Pyt.: Dużo tam osób aresztowano?

Dużo było. Ludzie nierówni. Jeden tam bardziej jest żywy, agresywny, krzyknie coś komuś.

Pyt.: Ile mniej więcej takich osób aresztowano?

Na miejscu zamknięto. Ich aresztowano, ale ich tam na miejscu w izolatorze wojskowym trzymano przy nas. Myśmy ich widywali, bo ich przyprowadzano do stołówki na obiady. Taki areszt, ale już oni od nas byli odseparowani, tzw. prowokatorzy jak ich tam [Sowieci] nazywali.

No i jesienią przywieziono nas do Polski. Jechaliśmy przez Brześć. Przewieziono nas do Białegostoku, do lasów. Jeszcze w cywilu byliśmy, budowaliśmy od razu dla siebie ziemianki w lesie, w białostockiem. Tam dużo chłopaków poucikało, kilku złapał, kilku rozstrzelali.

Pyt.: Pamięta pan może nazwiska?

Rozstrzelanych? Pamiętam nazwisko – Łaniewski, był z mojej kompanii, został rozstrzelany, w lesie pogrzebany, bez mogiły, bez niczego. Drugi – Bloch, dostał bodajże dożywocie, za ucieczkę. Później jeszcze... ich trzech uciekło. Ale na sądzie – bo był w jednostce sąd polowy pokazowy – oni twierdzili, że tylko pojechali po żywność. Byliśmy tam głodni po prostu; wyżywienie tak nędzne, że w nocy chodziliśmy w pole. Ziemniaków znajdziemy, marchew... Żeby utrzymać się przy życiu. I oni [ci sądzeni za ucieczkę] twierdzili, że poszli po żywność do rodzin. Ten Łaniewski został publicznie rozstrzelony przed całym pułkiem, został obarczony jako przewodniczący całej wyprawy. To był niedaleko gdzieś Skierniewic mieszkaniec, dokładnego adresu nie pamiętam.

Pyt.: Czy ta dywizja miała jakąś nazwę albo numer?

Numer dywizji IX, wówczas to był 28 pułk. On obecnie bodaj stacjonuje w Przemyślu, na Zasanie. A ja z Heńkiem, starszym bratem (obecnie w Jedlinie Zdrój mieszka) byliśmy w jednej kompanii.

Przyszedł oficer radziecki, Rusek, nazwisko Szmonin, i mówi: „Kto by się zgłosił do zwiadu dywizyjnego IX dywizji, to będzie przy sztabie, jako ochrona sztabu dywizyjnego. Tam będzie uformowany jeden pluton kawalerii.” Ja trafiłem z bratem do kawalerii. Był konny pluton, pluton cyklistów, pluton piechoty.

Z bratem byliśmy w jednym plutonie, ziemianki budowaliśmy. Doprowadzono nas do takiego stanu, że ledwo łaziliśmy. Wyżywienie kiepskie, na plecach te bele dźwigaliśmy, bo to ani techniki ani nic, tylko topory, piły. Ale jakoś budowaliśmy te ziemianki. Tylko skończyliśmy ziemianki i ten Szmonin się nawinął, że organizuje samodzielną kompanię do zwiadu dywizyjnego. Heniek przychodzi, „Co, zapisujemy się?” – „A, zapisujemy się, bo zaraz nas zabiorą [gdzie indziej].” A sztab dywizji mieścił się w mieście. W mieście to zawsze wśród ludzi – o żywność łatwiej i ponoć tam lepsze wyposażenie mają żołnierze. A przy tym jeszcze co nas raziło: płaszcze i mundury siwe jak szynele radzieckie. A tam [przy sztabie dywizji] zielone szynele, buty z cholewami, nie te owijacze (my z początku w owijaczach chodziliśmy. Przynajmniej będziemy wyglądali na żołnierzy. Idziemy.

Poza tym tam było znajomych sąsiadów, z którymi razem do szkoły chodziliśmy. Michał Kumpin (mieszka teraz koło Leszna), Pietkun Stanisław (obecnie we Wrocławiu). Myśmy, jak mnie brat namówił, żeby znajomych grona jakoś się trzymać. Później Mietek Woronecki, znajomych więcej nie było. I do zwiadu dywizyjnego.

Zapisał się, nas major do notesu zapisał. Dzień, dwa – nic, myślimy: taki pic na wodę. Ale pewnego dnia przychodzi major: „A gdzie te rozwiadczyki?” – po rosyjsku, on po polsku nie rozmawiał.

– No, rozwiadczyki, sobierajties, idziemy do miasta, do Białegostoku.

No to idziemy, pozbieraliśmy kogo zapisał i tych sąsiadów moich; on całą kompanię napisał. Zaprowadza nas na ul. Lipową w Białymstoku, niedaleko kościoła św. Rocha.

– Wot zdies' budietie żyt', wot wasza kwartira.

No dobrze, zaraz tu polscy oficerowie, młodszy – większość; starsi rangą oficerowie byli wszystko Rosjanie. A młodzi i podoficerowie polscy. Zaraz z nas szare mundury i płaszcze, owijacze z nóg, do łaźni. Dali zielone piękne ubrania wojskowe. Już wyglądaliśmy jak żołnierze polscy, prawda – te „kury” na czapkach były, ale to polskie wojsko.

Byliśmy w Białymstoku. Ćwiczenia, ćwiczenia nocne, usilnie nas szkolono. Z Białegostoku przejechaliśmy do Łukowa, początek był 1945 roku. Jeszcze na Łuków naloty były niemieckich samolotów, niedaleko. Byliśmy tam także po kwaterach prywatnych.

Później przejechaliśmy do Grobowca, to jest niedaleko obecnej granicy radzieckiej, województwo lubelskie. Tam także szkolenie. Później już w Grobowcu nasz pluton dostał przydział koni (w Białymstoku jeszcze koni nie mieliśmy). Ja dostałem konia, brat dostał konia, a kto należał do piechoty – to pluton piechoty, kto do cyklistów – wyposażenia specjalnego ze strony polskiej i radzieckiej nie było, tylko pozostałości od Niemców, motocykle na gąsiennicach; ten pluton tym władał.

Spod Łukowa ruszyliśmy na front. Od razu nas skierowano na Warszawę. A Warszawa była jeszcze w rękach Niemców. Było w tym czasie powstanie warszawskie. Dochodzimy, myśleliśmy, że przejdziemy przez Warszawę, że będzie wolna. Specjalnie do nas wiadomości nie docierały, że tam powstanie jest, to było zatajemniczone. Prasy nie było żadnej po jednostkach, myśmy o tym nie wiedzieli. I obok Warszawy nas przeprowadzono. Była samochodowa artyleria, jechali, piechota szła, a my na koniach.

Jak dywizja idzie i jest wytyczone, że w następnej miejscowości mamy na noc wypoczynek, to my jedziemy na koniach naprzód cały pluton kawalerii. Wytyczne, mapy nam dano i – proszę zabezpieczyć, żeby jak wojsko przyjedzie, każdy kwatery miał. To było naszą sprawą.

Dowódcę mieliśmy kapitan Hawrona, Polaka. Ponoć to był stary polski oficer. Siarczysty niesamowicie, dyscyplinę trzymał. W zimie mieliśmy ubranie specjalne, ono nie było ciepłe, a zima dosyć mroźna, z 1944 na 45 rok. Mieszkaliśmy po kwaterach, na apel wieczorny, na plac apelowy to ze 2, 3 km [trzeba było iść]. A dzień krótki, to przeważnie odbywało się wieczorem, już noc była. „A, dzisiaj nie pójdę.” To jak [kapitan Hawron] dorwie kogoś na kwaterze, kto nie przyszedł na apel... Mnie samego raz dorwał, to z 1,5 km gnał mnie po śniegu, raz na czworakach, z pistoletem w rękę. Myślałem, że mnie zastrzeli. Hawrona, kapitan. Siarczysty był. Później, jak zbliżaliśmy się do frontu, jego usunięto. Dali nam rosyjskiego oficera, kapitan Kiszczyn. Myśmy byli przyzwyczajeni do Hawrony, był obowiązek żołnierza, który miał przydzielonego konia (a to czas wojenny był), że koniowi trzeba zabezpieczyć źłób, żeby się najadł, i jego strzec, bo czasem alarm, żeby szybko na konia i jechać. Pod źłobem słomę się robi, w płaszczu legnie i tam się śpi.

No i objął dowództwo ten Kiszczyn kapitan. Nadal przy koniach swoich, po gospodarsku w stajniach było. W stajni stało parę koni, jednego razu mieliśmy [służbę przy nich], trzech nas chyba było. I słyszemy w nocy – otwierają się drzwi. To myśmy spod tych koni ze spania wyskoczył i meldujemy swoją obecność, że jesteśmy gotowi. Kiszczyn patrzy na nas ten:

– *Szto zdies' dielajecie?* – pyta.

– *Kak szto dielajem, przy łoszadiach nachodimsa. Tak wieliet bytyj nasz kamandir.*

Patrzy na nas i tak ordynarnie do nas: – *Iditie wy na kwartiru spat'. Eti klaczy wasze, job ich mat', ich zdies' czort nie wazmiot. Czewo ty sidisz zdies', idi spat' na kwartiru, tiopłuju.*

I się zmieniło. Trochę ulżyło, że nie po stajniach, a po kwaterach spaliśmy. Konie postawiło się, zabezpieczyło obrok i do rana człowiek spał, zanim nie trzeba było wyjeżdżać.

Minęliśmy Warszawę, skierowano naszą dywizję na Wał Pomorski. Było trochę motoryzacji, była samojezdna samochodowa artyleria, ale piechota jak piechota. Zanim zaczęli się do Wału Pomorskiego, to Rosjanie zrobili już tam swoje, Niemców już odbili. Niemcy poszli dalej. Wtenczas skierowali nas na Poznań. Poznań był w oblężeniu. Pod samą cytadelą nas zakwaterowano. Jaka tam kwatery! No, ale zawsze w jakimś ukryciu byliśmy.

Tam dopiero piekło zobaczyliśmy. Co tam się działo, na tej cytadeli... bigos, mięsa ludzkiego nabite. Trudno było dojrzeć, kto tam był, czy to Niemiec, Rosjanin czy nasz; jeden duży bigos. Cytadela została zdobyta i szybko naszą dywizję skierowali – chyba nazajutrz, jak cytadela uwolniła się – w kierunku Wrocławia. Nazywał się Brezlau..

Dojeżdżamy do Wrocławia, Wrocław w oblężeniu, drugie piekło się toczy. Dzień i noc lotnictwo działa, strzelanina armatnia, huk, szum. Doszliśmy do miejscowości Machnice pod Wrocławiem. Byliśmy w Machnicach (to niedaleko Trzebnicy) i tutaj się skończyło – we Wrocławiu już Niemców rozgonili całkowicie. Ale udziału w wojnie z Niemcami to myśmy we Wrocławiu nie brali. Jak tylko Wrocław został zlikwidowany, skierowano nas na Berlin.

Doszliśmy do Berlina, wojna się skończyła. I po wojnie zaraz wróciłem, z Niemiec przyjechałem do Częstochowy. Później skierowano nas do Rzeszowa.

Przejechaliśmy do Rzeszowa, dowództwo już całkiem inne, już i tego kapitana Kiszczyna nie stało, i nikogo ze starego dowództwa. Nowe dowództwo – i Rosjanie byli, ale już więcej Polaków. Niedługo staliśmy w Rzeszowie i skierowano do Przemyśla. W tym i mnie, nie całą dywizję. Brat jest 1920 rocznik, razem wróciliśmy z frontu, w Rzeszowie jego rocznik podlegał demobilizacji. Odprowadziłem go na dworzec, pojechał do rodziców do Wilna.

A mnie i ten rocznik, który jeszcze miał służyć, nie podlegał demobilizacji, do Przemyśla. Zrobiono z nas WOP, Wojska Ochrony Pogranicza. Nas skierowano do Baligrodu, tam, gdzie zabito Karola Świerczewskiego. W tym czasie, kiedy zabito Karola Świerczewskiego, już inny rocznik przyszedł do mobilizacji. Ja jeszcze byłem w Baligrodzie i Cisnej, wszystko widziałem. Już musiałem załatwiać dokumenta, a sztab mieliśmy w Przemyślu, było tam dosyć dużo oficerów frontowych. Zostałem skierowany rozkazem do Przemyśla, żeby do cywila mnie przygotowano. Ale jeszcze z wojska mnie nie zwalniano, tylko przygotowywano. Oficerowie mówią: „Co ty będziesz, Zakrzewski, robił sam?” Zнали mnie, że jestem z tamtych stron, nie mam tu [w Polsce] rodziny, nikogo. Mówię, że może pojedę do rodziców, albo zabiorę ich, bo oni są aż za Wilnem, sami. Brat tu już ożenił się, wrócił osobno od rodziców, rodzice sami

zostali. Mówię: „Pojadę do Warszawy do ambasad polskiej i radzieckiej, wyrobię dokumenty, pojadę do rodziców, zabiorę ich, przyjadę i tutaj na gospodarstwie będę” — bo na gospodarce jestem wychowany, z pochodzenia rolnicy. „Tyś głupi, Zakrzewski — powiadają — ty tam pojedziesz, do Ruskich?” Ja mówię: „A cóż ja przeskrobałem przeciwko nim, nic złego nie zrobiłem. A to, że byłem za Niemców w AK z bratem Heńkiem, to przecież przeciwko Rosjanom nie walczyliśmy, myśmy walczyli przeciwko Niemcom.” — „Wiesz — mówi — Zakrzewski co? Nasza propozycja jest taka. Kierujemy ciebie do Krakowa na szkołę lotniczą.”

Mnie to niby początkowo trochę ucieszyło. „Pomyśl i jutro nam odpowiesz w sztabie.” Rosjanin, Korościński, ale pochodzenia polskiego, z Odessy. Po polsku bardzo dobrze mówił. „Pomyśl, Zakrzewski, do jutra. Dostaniesz rozkaz wyjazdu na Kraków, tam załatw sobie szkołę, komisje lekarskie, badania, jeśli cię przyjmą.” Pomyślałem: może to i dobra idea? Pojadę.

Zgodziłem się. Z Przemyśla ze sztabu skierowano mnie do Krakowa, na przygotowania na szkołę lotniczą. Może popełniłem błąd, jeden krok w życiu to jak w szachach, wszystko spartaczy. Żeby poszedł na szkołę to może inny obrót sprawy by wzięły. Pojechałem do Krakowa, zdałem wszystko, zmierzono, zbadano, zważono, ścisła lekarska komisja, zdrowy byłem, młody, silny. Zakwalifikowano mnie na szkołę.

Wróciłem do Przemyśla, spotykam się z oficerami. „No, co Zakrzewski — pytają — jak tam poszło?” Mówię: „Wszystko w porządku.” Ot i dobrze, pojedziesz na szkołę, będziesz może pilotem. To długo nietrwało, przychodzi dzień już konkretny mojej demobilizacji. Ięm w Przemyślu na ul. Śniadeckiego. Przyszedłem do domu, nas dwóch żołnierzy mieszkało, na kwaterze prywatnej, w Przemyślu. Taki Białorus z Białegostoku pod nazwiskiem Broda i ja. Władek Broda, też go zwalniali, mówi: „Od jutra już po cywilnemu będziemy chodzili.” Ja mówię: „Ja wiem czy po cywilnemu? Zgodziłem się na szkołę lotniczą, zakwalifikowanie dostałem.” Władek był z Białegostoku, moi rodzice aż za Wilnem. Mówię: „Ty pojedziesz do domu, bo jesteś w Polsce, z Białegostoku, tobie żaden problem pojechać. Tam rodzina, otoczenie, znajomi, żaden problem.” A on jeszcze tak żartem mówi: „Kiwnij ty tę szkołę, mało ci 3,5 roku wojska?” Położyliśmy się spać, całą noc tylko jedna myśl: co tu czynić. I odwrót. Myślę — nie zostanę w wojsku, pojadę do rodziców. Dosyć tego wojska, dosyć tułaczki. Poproszę o rozkaz wyjazdu do Warszawy, do ambasady, zrobię dokumenta na rodziców, pojedę, żeby ich i przyjechać do Polski.

I tak się stało. Poszedłem do sztabu, dostałem rozkaz wyjazdu — podlegałem jako żołnierz, jeszcze nie cywil. Jak pojechałem do Warszawy, akurat Karola Świerczewskiego był pogrzeb. Jeszcze trochę w kondukcje przeszedłem, widziałem dostojników, pamiętam jak dzisiaj. Tito był z Jugosławii, sztykowny oficer, bardziej się reprezentował, niemieccy byli wyżsi oficerowie; przeważnie wojskowi byli, bo generał Świerczewski także wojskowy. Byli generała Świerczewskiego [koledzy] z Hiszpanii, co walczył w tym, co chcieli owoładnąć bolszewicy Hiszpanią.

Pozalaatwiałem te rzeczy w ambasadzie, nocowałem w hotelu, trzy dni trwało, zanim załatwiłem. Załatwiłem, dostałem dokumenta, pojechać tam, kierunek wytyczony, od Przemyśla przez Lwów, Sarny i na Wilno i tam do rodziny. W tamtym czasie nie zabierano mundurów, w wojskowym ubraniu puszczano do cywila. Stałem się cywilem, tylko pozrywałem te sopolki z munduru (byłem kapralem), naramienniki powycinałem, orzelka z czapki zdjąłem, nosiliśmy polówki rogatyweczki.

I za parę dni zabrałem się na Lwów. Zapasową na zmianę bieliznę miałem, pojechałem do Wilna. Przyjeżdżam do rodziców, wszyscy zadowoleni, że Wojtek wrócił z wojny zdrowy i cały. Dużo nie wróciło tych, którzy z nami razem poszli w 1944 roku, 17 lipca, sąsiadów nawet bliskich. Razem byliśmy w jednej dywizji. Rodzice mają gospodarstwo, jeszcze brat był (teraz już nie żyje). Ojciec mówi: „Będziemy jakoś radzili, będziemy żyli, na rolnictwie pracowali.” A już zanosilo się, kolchozy zaczęli organizować Rosjanie. Kolchozy to rzecz nie za bardzo miła. Ale ojciec mówi, ludzie żyją, dają radę w kolchozach, to może i my sobie poradzimy. Ja mówię: „Ja inaczej zamierzam uczynić. Mam dokumenty, przyjechałem tylko was, rodzice, zabrać. Pojedziemy do Polski, tam weźmiemy gospodarstwo, według naszych sił i członków rodziny” — dadzą, bo mnie się należało na Zachodzie. A na Zachodzie wtedy wybór gospodarstw był bardzo bogaty, jakie chcesz. Mieszkanie i nawet inwentarz żywy, wszystko można było nabyć, a gdzie nie było to dawali bezpłatnie. Rodzice zaskoczeni tym faktem, ale „Skoro tak wolisz, twoja wola, my starzy jesteśmy, a całe życie przed tobą. Wojtek, czyń jak uważasz, my podporządkujemy się tobie.”

Zaraz pojechałem zameldować się, że wróciłem z wojska. Pięknie, ładnie mnie przywitano w NKWD w Brasławiu (to było przed wojną województwo wileńskie). Wyjmuję dokumenta i pokazuję, że na stałe nie przyjechałem, a tylko zabrać rodziców i pojadę do Polski. Mówię, że tam już mam zapewnione locum, gospodarstwo i tam będziemy mieszkali „Tam w wojsku służyłem i ja tak wolę.” *No charaszo.* Ale o tych sprawach bliżej nie mówiono, tylko zameldowano. Mnie na ewidencję wciągnięto, że jako mieszkaniec Dauble już figuruję. No i od czasu do czasu, to już długo nie trwało, zacząłem do NKWD w Brasławiu zaglądać. I oni stale — „Co ty spieszysz tak bardzo z wyjazdem, starczy ci czasu, pojedziesz jeszcze. Raz i drugi to samo. Zaczynam się domyslać, co tu cholera jest, czemu nie chcą wypuścić? Żeby wyjechać to trzeba na rodziców... bo ja powrót do Polski mam dokumenty, wizę mam, ale na rodziców trzeba zrobić jeszcze, jako obywatelom Związku Radzieckiego, od tamtych władz. Chociaż ja mam zezwolenie ich zabrać, ale trzeba dokumenty tam zrobić. Oni tak z uśmiechem mówią, *„Nie spieszy...”*. Już mnie zaczął szlag trafiać na to wszystko, w 1947 roku w maju przyjechałem, już 1948 rok i *„nie spieszy, nie spieszy...”*

Kiedy ja wróciłem do domu, to jeszcze małe grupki akowców egzystowały w lasach, ukradkiem. Mało było, znikome i bym powiedział, że to było daremne, bo przez to mnóstwo ludzi poszło do więzień. Może trzeba było to inaczej jakoś rozwiązać. Ale rozwiązanie takie, jeśli zgłosić się do nich [do Sowietów], to pod sąd, 25 lat. A kto by chciał wysiedzieć 25 lat? Niektórzy nielegalnie do Polski, mój kuzyn nawet. Mieszka obecnie w Giżycku, Raciborski

Kazik, w sposób nielegalny przeszmyglował się do Polski; dużo takich, którzy należeli do partyzantki. Przeważnie to posadzili. Bo kiedy w 1944 roku weszli Rosjanie do nas, to pod Wilnem wzięli do niewoli chyba 12 tys. czy coś, mniej więcej taka liczba. I tam zrobili przesiewkę, oficerów odseparowali, niektórych od razu wypuszczono. Tam paru kuzynów moich także trafiło, w tem dwóch wywieziono aż na Sieligiej — to jest jak ujście Wolgi, duże jezioro, nazywa się Sieligiej. Na tym jeziorze duża wyspa i stary klasztor. Ich tam zawieziono. U nich już sakralne budowle nie istniały, zdemolowane, zrujnowane, ale jakieś szczątki tego były. Oni byli zakwaterowani w ruinach klasztoru. Tam [Sowieci] i przesiewkę zrobili i dwóch moich kuzynów stamtąd wrócić — Wacław Wangin (już nie żyje) i Wacek Raciborski (także nie żyje). A oficerów tam odseparowane i wywieziono i ślad po nich zaginął; nikt nie wie, gdzie zostali wywiezieni. To oficerowie akowcy, nie z 1939 roku, z kampanii wrzeźniowej, ale akowcy.

Pyt.: Czy słyszał Pan o jakichś konkretnych oddziałach, które jeszcze funkcjonowały na terenie Wileńszczyzny, kiedy wrócił Pan do domu? Czy jakieś pseudonimy Pan słyszał?

Ja nawet nazwiska wiem. Kociołowicz, Bilkszto — daleki mój krewniak, Stanisław Bilkszto, ale to wszystko zginęło, wystrzelali oni. To jedna grupa była.

Pyt.: A kto dowodził tą grupą?

Tą grupą raczej dowodził Kociołowicz, w jakiej on randze był, w tej chwili nie mogę powiedzieć.

Pyt.: A jaki miał pseudonim, pamięta pan może?

Nie.

Mój brat, Heniek [Zakrzewski], był pełnoletnim partyzantem za Niemców, od 1942 roku. Ja, jako młodociany, byłem łącznikiem, jeszcze dla mnie pseudonim nie przysługiwał. A Heniek nosił pseudonim "Jeleń...". Zwerbował nas do AK Pietkiewicz, Władek, obecnie mieszka na Mazurach, stary akowiec; jest bez nogi. Był z nami, nie w jednej sprawie grupy, nas sądzili, ale potem i jego dowiedzieli. I przyjechał do obozów, gdzie myśmy byli, spotkaliśmy się z Władkiem. Fakt, że on wcześniej wyszedł z obozów, może bo inwalida, nie miał nogi, o kuli chodził.

Pyt.: A w jakich obozach był? W tych samych co Pan?

Ja byłem w dużo których obozach. Ale jego przywieziono do Dżekazganu, to jest Kar-lag: → "Karagandinskije lagieria...". A czy on jeszcze gdzie był? Bo rodzice w obozach byli blisko — koło Mińska mama, ojciec w Nowosadach. Starsi ludzie, daleko ich nie wieziono. W głąb [Rosji] wzięli zdrowych, młodych ludzi, do pracy.

Najbardziej chodziło im o pracę. Te całe ich sądy, fałszerstwa sądowe, polegały na tym, żeby pozyskać darmowego pracownika. Dali 400 g chleba i musisz pracować, nie ma odwołania; ani piąteków płacić, ani nic. A jak zaczęto dla nas pieniążki płacić trochę po obozach, to najpierw potrąca na ochronę, wojsko trzeba opłacić, garnizon NKWD, który nas strzegł, i za wyżywienie i wyposażenie... Tam wyposażenie: spaliliśmy na dechach, nie było materacy, koce takie, że nie można nazwać kocem. W swoim zakresie jak ktoś się postarał, trochę wiórków do jakiegoś worka, to miał materac. A jak się nie postarałeś, to kufajką się przykryj i takie nocowanie.

A obozy. Kiedy osadzili, zawieziono nas młodych, Heńka brata i mnie do Dżekazganu. Tam były kopalnie miedzi i budowy.

Pracowałem na budowach. Budowaliśmy miasto, fabrykę wzbogacania rudy miedzi — nazywali *abogatitielnaja fabrika*. Potężny obiekt, tam nas pracowało wyganiano parę tysięcy, 5–6 tys. dziennie. Z rana wyprowadzano, wojsko, garnizon przychodził, z obozu nas zabierano. Odległość z obozu do tej fabryki około 2 km, tam przeważnie całe 10 godzin pracowaliśmy.

Sami więźniowie tam pracowali, masa. Ile tam wypadków, nikt się nie liczył, że cegła czy coś zabiła człowieka. Ani więzień się nie przejmował. Najwyżej z bliskiego [otoczenia], z brygady ktoś, znajomi; ale tam nic nie pomożesz, za bramę wywieziono [ciało] i wszystko. W końcu przyszedł koniec budowy *obogatitielnoj fabryki*. Pamiętam jak dziś, myśmy pracowali, wygnali nas od rana na budowę, ale tylko porządkowaliśmy, gruzy usunąć, żeby wszystko pięknie, ładnie wyglądało. Jak wygnali nas tam 5 tys., wszyscy po jednym kamyczku, po jednej cegielce wynieśli, porządek się zrobił zaraz. A wielkość tego obiektu roboczego, jak to miasteczko nasze. Naokoło wieżyczki, wojsko NKWD strzegło, a myśmy pracowali.

Pyt.: Czy pracowali też przy budowie tej *obogatitielnoj fabryki* więźniowie z Kingiru?

Tak.

Pyt.: A w jakiej odległości fabryka była od Kingiru? To należało do Kingiru, to w Kingirze było budowane. Kiedy doszło do zakończenia budowy, jeszcze fabryka nie była uruchomiona, ale już próbne rozruchy były, ponoć niby wszystko grało. Czy mnie tam interesowało, żeby dobrze wykonać [pracę], jak głodny byłem? Ani ogrzany, jeszcze w lecie to jako tako. Co mnie obchodziło, że cegła nie tak położona, że drzwi nie tak wstawione, że jakaś turbina nie tak? To wszystko na smarkach było, że tak powiem. Budowa więźniów. Kto tam się wysilał...

Jak troszeczkę uporządkowaliśmy cały teren — jaki to był okres? Ciepło było, ale jaki miesiąc — nie pamiętam. Wtenczas nas za wszarz, jak się mówi, wszystkich więźniów wyprowadzono i — przywieziono komsomolców. Cały transport samochodów, z orkiestrą, z transparentami. Tam i telewizja, chyba była już, i radio, wszystko zorganizowano; na pokaz, że to wybudowali komsomolcy.

Później budowa była elektrowni, nazywali *TEC, ciepłowaja elektrostancja*. Dłuższy czas na tej budowie pracowałem.

Budowaliśmy elektrownię, była tama — nazywali *platina* — i zapas wody na całe lato, bo tam deszczów nigdy nie było, tylko wiosną śniegowa woda. Do zbiornik nałapią wody z tej rzeczki [Kingirki], na całe lato na uruchomienie

elektrowni, żeby pracowała elektrownia, musiało być. Na budowie tamy pracowały same kobiety, mężczyźni tam nie pracowali. Potężna tama i potężny zbiornik wody, głębokości jakieś 100 m.

Pyt.: Czy obóz, w którym Pan przebywał, miał jakiś numer albo nazwę?

Numer chyba nie. To był obóz *Pierwoje oddzielenie, wtoroje oddzielenie*, tam obozów dużo. Gdzie kopalnie były, tam nazywali *Rudnik*; tam gdzie ja uciekałem, też. Bo kiedy przywieziono do *Dżekazganu* i na *Rudnik* mnie z bratem, to długo myśmy tam razem nie byli. Jak NKWD doszukało się, że jest dwóch braci – trzeba rozłączyć, nie może być kontakt rodzinny. Wtenczas mnie zabrano, przewieziono do *Kingiru*, do obozu. I właśnie w *Kingirze* była budowana *obagatitielnaja fabrika, TEC, kirpicznyj zawod, podsobnoje chazajstwo* – był tam i obóz kobiecy.

W *Kingirze Pierwoje oddzielenie* to były kobiety, *Wtaroje* – małeletnie chłopczki, *Triet'je łach* – *oddzielenie* to był gospodarczy obiekt, tam piekarnia, magazyny, na zimę zapasy, kapusta kiszona, kartofle, buraki, miało to wszystko lokum w *Triet'jem oddzieleni*. A już *Czetyortyje oddzielenije* to mężczyźni byli; ja byłem tam, później *Tret'je łach* – *oddzielenie*, ale były tylko poprzegradzane wysokimi murami. Jedna całość duża, podzielona na takie pasy.

Pyt.: Pięć było tych części?

Zaraz doliczę się, dokładnie nie pamiętam. *Czetyortyje* to ja byłem. *Piatoje oddzielenije* – z jednego *Czetyortowo* później rozdzielono na pół i zrobiono dwa *oddzielenija*, czwarte i piąte. A *Szestoje łach* – *oddzielenie* to był karcer, izolator, tam znajdował się aparat śledczy, urzędowały władze obozowe. Jak podpadłeś w obozie, to tam za kratki. Taki rygor, że nie było kontaktów.

Pyt.: Pana brat został na *Rudniku* w *Dżekazganie*?

Na *Rudniku* został.

Pyt.: *Rudnik* jaki miał numer, nie pamięta Pan?

Nie pamiętam, raczej tam numerów nie było. Ja mam dokumenty z *Rudnika*, z obozu, z *Kingiru* – mnie w *Kingirze* za ucieczkę sądzili powtórnie – ale tam nie ma numerów. A może i są?

Później również brata przywieziono z *Rudnika* do *Kingiru*, spotkałem się z bratem znowu w *Kingirze*. Jak było *Czwarte oddzielenie* duże, to później rozgrodzona je na dwa i brat [Henryk Zakrzewski] zamieszkał na *Piątym*. Ale tam przejście było, bo stołówka jedna, wszyscy na posiłki do jednej stołówki chodzili. Tylko kobiety i młodociანი oddzielnie, z nimi nie mieliśmy kontaktu.

Pyt.: A stołówka była na *Piątym* czy na *Czwartym*?

Na *Czwartym*. Duża stołówka. I tam szpital był – prowizorka, ale szpital. Ja chory byłem, przeszedłem tam żółtaczkę, tyfus, szkorbuty; wszystko w tym szpitalu. Jakoś to, dzięki Bogu, przetrzymałem, młody byłem.

Zaraz za stołówką był *BUR*, tam niepewny element był zamykany. [Element, z *BURu*] przychodził do stołówki w czasie posiłku razem [z nami], ale po posiłku ich do baraku czy ziemlanki odprowadzano pod nadzór obozowy – nie NKWD, ale tzw. *nadziratieli*. NKWD to czynna służba była, a to był nadzór; także po wojskowemu chodzili, nazywali ich pospolicie *nadziratiele*.

Pyt.: A ten "element niepewny", – tzn. obawiano się, że oni jakiś ferment wśród więźniów...?

Tam i ferment i organizacja. Oni [nadzór obozowy] wiedzieli, że istnieją organizacje. To był obóz wybitnie politycznych, za bardzo nie mogli wywęszyć. Element był politycznie [sądzony], 58 *statia*, 58 paragraf: zdrada ojczyzny, jak oni to głosili. [W obozach] osobno byli. Ponoć przedtem razem byli – polityczni i kryminaliści. Wtedy był wielki bałagan i wielkie piekło. Bo polityczni to ludzie spokojni, zrównoważeni, nie margines, a tamci kryminaliści to jest margines społeczeństwa; tam [w *ZSRR*] tego marginesu jest jak błota wiosną. Ja nie wiem, co oni teraz z tym poczną, wypuścić to wszystko na wolność?

Pyt.: Czy pamięta Pan osoby, które w *BURze* były przetrzymywane?

Mój kolega, który ze mną uciekał, Antoni Mickiewicz, on w *BURze* cały czas prawie był w *Kingirze*. Później, kiedy trafiliśmy na *Rudnik*, już nie był w *BURze*.

Pyt.: Ktoś jeszcze?

Z *Połaków* tylko jego pamiętam. Był jeszcze jeden, pseudonim miał (nazywali to w obozie *kliczka*) "Kruczok", – Kajzer Józek. Jakiś czas był Józef Moździen, ale nie długo. Później wyszedł, do roboty chodził. Bo tych z *BURu* na roboty nie wyprowadzali. Oni tam w ogóle byli zadowoleni w *BURze*, nie śpieszyło się im do wyjścia. Bądź co bądź ogrzany barak, ta ziemlanka, a tak do roboty, zamieć czy mróz, trzeba iść. Warunki na obiektach pracy potworne przecież były.

Pyt.: A ile osób mogło być przetrzymywanych w tym *BURze*, jak Pan sądzi?

Gdzieś grupa do 100 ludzi, *BUR* obozowy był taki.

Pyt.: I tam byli siedzieli ludzie z *Kingiru*, a nie np. z *Rudnika* przywożeni?

Ci, którzy należeli do obozu, którzy byli przywiezieni do tego obozu [do *Kingiru*]. Każdy obóz miał swój *BUR*.

Pyt.: Wspominał Pan o organizacjach wśród więźniów politycznych?

Właśnie ten Józek Kajzer był dobrym organizatorem. Skąd był – jego adresu nie wiem, także na zdjęciu go nie mam.

Pyt.: A skąd pochodził?

Nie pamiętam.

Odseparowano mnie od brata, przywieziono mnie [z *Rudnika*] do *Kingiru*. Później brata [Henryka Zakrzewskiego] do *Kingiru* przywieziono, spotkałem się z nim tutaj. A później za jakiś czas znowu NKWD dopatrzyło się. Bo jak przywozili ludzi do obozu, *operupetnomoczny* do spraw politycznych, pospolicie zwany *kum*,

przełąda sprawy wszystkich ludzi; musi się zapoznać, jaki to element. No i znów natrafił. Zakrzewski jeden, drugi, doczytał się, że bracia razem. To mnie na Rudnik wywieźli znowu. Brat został w Kingirze, a mnie na Rudnik wywieźli i do kopalni miedzi. Kopalnia nr 31.

Zacząłem pracować. Spotkałem się na Rudniku z Antkiem Mickiewiczem, z którym w BURze byłem, kolegowaliśmy się; fajny chłop, od Grodna pochodził, woronowski rejon, wieś Cynigańce. My jak się spotykali, stale u nas takie mrzonki były — jak tu wykombinować ucieczkę. Tam więcej było takich amatorów: taki fajny chłop Białe ([Tadeusz], Wacek jako kowal pracował. Zorą organizowaliśmy grupę na ucieczkę. To było na Rudniku, pracowaliśmy na kopalni 31, obok była 44 kopalnia. Dużo kopalni, wszystkie miały podziemne połączenia; były takie, w których podziemne przejścia były zakratowane, nie można było przechodzić. No i ucieczka, [Tadeusz] Białe, Waclaw Rodziewicz, Zakrzewski Wojciech, Antoni Mickiewicz; bystrzaki, organizowaliśmy ucieczkę. Wszystko już było zrobione, zapasy, [przygotowania] trwały rok, może więcej. Postaraliśmy się o mapy, kompasy... Kompas ja osobiście wykonałem, bo majsterkowiczem jestem i umiem te rzeczy. O mapy się postarali, o żywność.

Pyt.: A mapy skąd?

Nie pamiętam dokładnie jak to było, ale dostaliśmy mapy Kazachstanu. Mapę to raczej mieliśmy dopiero wtedy, kiedy uciekliśmy we dwójkę, [później]. Bo pierwsza ucieczka była niepowodzeniem. Nie wpadliśmy, ale nas zdemaskowano; ale kto to szykował podkop, to do tego NKWD nie doszło. I nam włos z głowy z tego tytułu nie spadł, bo inaczej to...

Pyt.: Tzn. mniej więcej po roku zaczęliście robić podkop?

Tak. Zrobiliśmy podkop z kopalni, nie z zony, w której mieszkaliśmy. Z boku szybu kopalnianego, codziennie po trochu, stale było maskowane. Podkop robić to nie takie proste; to nie jest ziemia, tylko kamień, skała. Nazywali to *parada*, bardzo twarde to nie jest, ale kamień. Tam gleba miejscami jest z wierzchu na kamieniu, a miejscami tylko kamień, nic więcej.

Pyt.: Ale we czterech robiliście ten podkop?

We czterech: Rodziewicz, Białe, Zakrzewski i Mickiewicz. I niewypał... Wyszliśmy do kopalni na nocną zmianę, konwój nas zaprowadził (kopalnia na trzy zmiany pracowała). Na nocną zmianę nas wyprowadzono. Nie byliśmy już przecież nowicjuszami obozu — od razu widzimy, że coś jest nie tak: wojska więcej, oficerowie, zgraja psiarni. Nam się od razu rzuciło w oczy, że coś jest nie tak. No i dowiadujemy się już w kopalni, w podziemiach, bo dzienne zmiany pracowały, warsztaty były kopalniane. Waclaw Rodziewicz pracował w kuźni jako kowal, ale kiedy ucieczka miała być, on wtenczas nielegalnie z nami w kolumnie wcisnął się i tak poszliśmy na ucieczkę. Ale niewypał. Później zaraz alarm, noc nieprzepracowana, jak nas zaprowadzono... Nie pamiętam, na którą godzinę nocna zmiana przychodziła do pracy. Alarm, wrzawa i wszystkich na wierzch z kopalni, z podziemia, i zaraz liczą, raz, drugi, trzeci. Trwało może 2 godziny. Posadzono nas na placu, wojska naokoło, więcej niż nas, psy na smyczach. Potem do obozu, kilka dni do pracy nas nie wyprowadzono. Jak oni wytropili ten [nasz] podkop, murarze wszystko zamurowali. Zanim kopalnia ruszyła, to może trwało tydzień, nikt nie wychodził do pracy. Ale kto zrobił podkop — tego NKWD nie doszło.

Pyt.: Wyście nie podejrzewali nikogo, że doniósł? Czy ktoś poza waszą czwórką wiedział o tym podkopie?

A skąd, gdzie tam wiedział! Chociaż było dużo [donosicieli] takich w obozach... Co prawda w tym czasie, kiedy ucieczka była szykowana, to szpicle obozowi już byli wyróżnieni w pień. Jak tylko podejrzenie, trzeba było udowodnić, że niebezpieczny, to już go i nie ma. Albo w kotłowni palono, że śladu po nim nie znaleźli. I od tego proceduru [od donosicielstwa] każdy już wówczas stronił widząc, że to jest niebezpieczne.

Spotykamy się z Antkiem Mickiewiczem. Co? — robimy dalej, czas płynie. A trzeba było kombinować ucieczkę wiosną, w lecie nie było najmniejszego sensu — w "stepach głodnych", w lecie zginiesz, bez wody. Trzeba zanim w stepie są wiosenne wody śniegowe; trzeba wiosną uciekać, inaczej nie ma szans na przejście. Te całe Karakumy, słony step — tak, jak u nas w zimie śniegu, tam jest sól. [Czasem bywał] zamieć soli, tak jak u nas zamieć śnieżna. Ale to wszystko przeszliśmy...

Pyt.: A czy mieliście jakiś plan konkretny, dokąd iść?

Na Iran; a gdzie? Na południe, tylko na południe, bo na drodze na Kargandę jest kolej, żelazna droga — tędy nie przesmykniesz, od razu obstawa powstaje, nie ma szans w tę stronę.

No i zostaliśmy [w obozie], nasza czwórka (Mickiewicz, Rodziewicz, Białe i ja), niepowodzenie, czas ucieka, znowu zaczynać przygotowania — wiosna już mija. Nie pamiętam, jaki miesiąc miał być tej pierwszej ucieczki; dobre przedwiośnie, już śniegu nie było.

Później Białego zabrano z obozu, Rodziewicza też, zostałem tylko z Antkiem Mickiewiczem. Spotykamy się z nim, nadal na tej samej kopalni pracujemy, ja spawaczem, on także w podziemiach, przy wózkach, rudę wywozili. Spotykamy się. "Co robić?.. On mówi — na następną wiosnę, przedwiośnie będziemy się szykowali. Przyjdzie zima, będziemy się szykowali w dwójkę, pies to drapał. I tak się stało.

Lato minęło, przyszła zima, pomału wszystko uspokoiło się, NKWD już trochę puściło w niepamięć tę nieudaną ucieczkę. Zaczęliśmy kombinować inny sposób. Od szybu kopalnianego, przed wyjściem na "zerową powierzchnię", na ziemię, [odchodzą] szyby wentylacyjne. Przejście do szybu wentylacyjnego jest zabezpieczone — gęste kraty, pręty jak szklanka. Ten kanał wentylacyjny idzie troszeczkę dalej [w bok] i wychodzi do góry, do wentylatora. Wentylator daje powietrze do kopalni, jest wyjście do wentylatora także. Jak we dnie się pracowało, to się oglądało [wszystkie wejścia]; możesz chodzić przez szyb, możesz windą jechać, jak chcesz. Nikt tego nie strzegł. Można było chodzić i po

pomieszczeniu wentylacyjnym, tam i pracowało się jak jakaś awaria wentylatora. Ja byłem spawaczem, nieraz remontowaliśmy wentylatory – potężne, dużej średnicy.

No i zaczęliśmy wchodzić koło tego kanału wentylacyjnego, ja z Antonim Mickiewiczem. Ale tu kraciska, tam kraciska znowu... Mało tego, wentylator jest w pomieszczeniu, pod dachem. Okna tam są zakratowane. Jak się wyszło z tego pomieszczenia, w którym stoi wentylator, tam była estakada – wyciągają wagony rudy, wagoniki nieduże się wywracają i wysypują rudę. I w nocy wszystko jest oświetlone. W nocy na estakadzie wolni ludzie pracują, my – więźniowie – pracujemy w podziemiach. Wojsko stoi przy szybie, patrol wszędzie, enkawudziści szperają. Ale szykujemy.

Najpierw zrobiliśmy wejście do wentylatora. W wentylatorze można przecisnąć się między metalową obudową a śmigami, które chodzą, [obracają się]. Ponacinaliśmy grube pręty [kraty] piłką – to gdy pracowaliśmy we dnie. Po trochu, po trochu, dzisiaj troszeczkę, jutro troszeczkę, godzinę podpiłowało się. I tak codziennie, później z szybu wejście – tak samo. Tak, że kraty zaledwie się trzymały. Jak skończyło się robotę, to piłowanie, jeszcze jakiegoś piachu się sypnęło, żeby nie rzuciło się w oczy, i to wszystko.

Zaczęliśmy szykować znowu. Kompas były, ale wszystko pierwsze zniszczyliśmy, żeby śladów po nas nie było. Porobiłem nowe kompas, noże eleganckie – takie finki w podróż – postaraliśmy się o ubranie lepsze, ciepłe, bo wiosną trzeba uciekać. Kompas, mapy znowu, chociaż mapa dla nas nic nie dawała, jak weszło się w step, to żadnego punktu oparcia nie było: pustkowia. Nie tak, że jest krzyż przy drodze, orientacja... Jak szło się w nocy, to według księżycyca – to cała orientacja.

Pyt.: Wasza droga musiała przebiegać przez ten "słony step",?

To nie droga; szliśmy stepem, tam drogi nie ma żadnej. Przez step prosto.

Tam jak jadą samochodami ekipy, dużo w stepach jest saren, potężne stada, po kilkanaście tysięcy w jednym stadzie. Jak jadą na polowania na sarny, to bezpośrednio w step, tyraliera samochodów, przeważnie gazikami terenowymi. Nie z bronią myśliwską, ale z automatami, z pepeszą. Tyraliera samochodów, dziesięć, dwadzieścia, sarny uciekają, oni strzelają. Samochodem po stepie jak po stole, jak po asfalcie się jedzie. A następna ekipa idzie i zbiera łup, i na samochody. Specjalne brygady były ku temu stworzone, wyposażone w broń, do polowań.

Ja tam drogi żadnej nie spotkałem w stepie. Jeśli na Karagandę iść, [na północ], to kolej jest, szosa od Karagandy do obozów; ale myśmy tam nie poszli.

Uszykowaliśmy wszystko z Antkiem Mickiewiczem, we dwójkę tylko, zapasy żywności – 10 kg ciastek, herbatników suchych i 10 kg cukru. Wszystko było przygotowane i z 16 na 17 kwietnia 1954 roku planowałem dzień wyjścia – mamy nocną zmianę i próbujemy. Wszystko po trochu, ubranie, zapasy żywności, [wynosiliśmy] i schowaliśmy w kopalni. Naraz by się nie poradziło, [byłoby] podejrzanym, jakbyś z tobołkiem w kolumnie szedł, zaraz enkawudziści zauważaliby.

No i kiedy zaprowadzono nas do kopalni, zjechaliśmy windą i daleko nie poszliśmy na miejsce pracy, już się nie zgłosiłem do swojego kierownika (brygadziści byli więźniowie, ale całymi pracami w kopalni wolni dyrygowali). Zaraz zatrzymaliśmy się przy windzie, zaraz troszeczkę w bok jest drabina, szyb do góry, jakieś 300 m głębokość. Pod drabinę żeśmy się zaczaili i słuchamy, co będzie; czy nie będzie jakiegoś poszukiwania nas. Nie ma. Godziny nie siedzieliśmy. Pomalutku po drabinie i do góry. Doszliśmy do luku wentylacyjnego, kratę ruszyliśmy trochę, odpadła. Zoostawiliśmy ją, a gdzieś 1,5 m wyżej już powierzchnia, słychać tupot konwojentów. Wojsko, coś rozmawiali, nie pamiętam, posłuchaliśmy, kilku ich tam było. Wleźliśmy do tego kanału, słuchamy co będzie dalej. Pomalutku, żeby szmeru jakiegoś nie zrobić, doszliśmy do wentylatora, tam krata była przepiłowana, także tą kratę ruszyliśmy, ustąpiła, odstawiliśmy. Koło wentylatora przecisnęliśmy się luką, przez którą powietrze wchodzi do wentylatora i wyleźliśmy do pomieszczenia wentylacyjnego, zabezpieczającego wentylator. Tam jeszcze mała krata, już była usunięta.

No i wyglądamy, a tam zaraz tory kolejowe dochodzą, bocznicę – zabierają rudę, przyjeżdżają transporty pod estakadę. Oświetlone wszystko żarówkami jak we dnie, jak w słoneczny dzień. A nad nami, na estakadzie, 8 może 10 m, ludzie chodzą. Wagony z szybu wysypują rudę z estakady, słychać, ludzie pracują, chodzą, a my przy oknie stoimy, zaraz obok tory, 3 m od okna. Co robić? Wyjść teraz. Ale my z tobołkami. Wyjść na te tory i iść. Patrole chodzą. I szybka decyzja. Wyjdziemy na tory, głośno będziemy rozmawiali, zapalimy papierosa i torami sobie z gadką wesołą pójdziemy na wyjście z zony kopalnianej. A tam jeszcze brama jest – żelazna, kraciata. Ale brama otwarta w nocy.

I tak się stało. Wypryśliśmy na tory, chociaż nam nie do śmiechu było, ale jakoś zdobyliśmy się na śmiech, na głośne rozmowy, zapaliliśmy papierosa, tobołki pod pachą i pomalutku sobie idziemy do wyjścia z obiektu kopalnianej. Dochodzimy do bramy, którą pociąg wyjeżdża. Patrzymy – idzie dwóch żołnierzy, patrol od bramy. Ale już nie mamy wyjścia, trzeba iść dalej. Papierosa w zęby, dymek puszczaemy, gadu, gadu – po rosyjsku oczywiście – i idziemy. Mijamy się z nimi, oni z nas nic nie robią, my nic także, poszli do kopalni, w kierunku szybu, tam skąd myśmy wyszli. A my za bramę. Mieliśmy tabakę do wachania, drobną, pyłek taki, żeby ślady zatrzeć po sobie. Po torach od razu, po podkładach, za sobą, zaczęliśmy szczytać tej tabaki, żeby pies nie zwęszył; to jest bardzo skuteczne. Jak sypniesz tytoniu, już pies śladu nie znajdzie. Zasypaliśmy ślady, chyba ze 100 m za sobą.

I galopa w step. Noc księżycowa, dosyć ładna, ale przymrozek był. W step, dalej i dalej. I klusa, żeby jak najdalej. Przeszliśmy, chociaż nie wiedzieliśmy, że tam strumyk jest, rzeczka Kingirka. Dochodzimy do niej, rzeczka jest wezbrana – wiosna, jeszcze woda śniegowa była (latem prawie wody nie było w tej rzeczce).

Dochozimy do rzeczeki, widzimy, że jest wezbrana; jaka ona głęboka, to w nocy, piernik ją tam wie. Co tu robić? Trzeba nad każdą rzeczą w życiu pomyśleć. Przez rzekę? Idziemy przez rzekę. Antek mówi: "Mnie zabierze woda.., Ja mówię: "Ja to pływać umiem.., Nie ma co siedzieć, trzeba decydować i to szybko. Mówię: "Ja spróbuję pierwszy iść, przeniosę wszystko – cukier, ciastka, co mieliśmy tam, papierosy, zapalki – żeby nie zamoczyć. Przeniosę, jeśli mi się uda to wróce.., A rzeczka szeroka jak przez mieszkanie, szybki nurt, że strach patrzeć. Przeszedłem. Jak mówię – trzeba nad każdą rzeczą pomyśleć. Trzeba było się rozebrać, myśmy byli w waciakach, mieliśmy kożuszki bez rękawki ciepłe, kufajki, spodnie watawowe, buty wojskowe kierzowe, ruskie, bieliznę ciepłą, flanelową, zdobyliśmy na podróz. Trzeba było się rozebrać, przenieść ubranie, długo by nie było, a suche byśmy byli. A ja od razu przez wodę z cukrem, z ciastkami, już i nie sięgałem dna, ale przeniosłem; trochę woda mnie zabrała w bok, zbczyłem, ale wyniosłem. Wróciłem po niego. On co? Widziałeś tylko głowę moją. No to dawaj, przewlokłem go także na tamtą stronę, trochę się ogarnęliśmy z wody. Ale gdzie tam, kufaja jak namięknie, to nie wiem ile ją suszyć trzeba; i spodnie watawowe, i w butach pełno wody. Ale nie zdejmowaliśmy butów, i znowu, nie klusem, ale galopem w step, kierunek – południe. Galopa i galopa. A w kwietniu noc jeszcze długa (to było z 16 na 17 kwietnia). My za noc zrobiliśmy, według naszych obliczeń, 100 km, za całą noc. I już zaczęło świtać.

Jak zaczęło świtać, trzeba szukać jakiegoś na dniówkę schronienia, zamaskować się. A tam ani krzaka. Znaleźliśmy w jednym miejscu takie niby [jeziorko ?] zamaznięte, przy nim dosyć wysokie trawy suche pozostały. Trochę to zamaskuje, ale trzeba leżeć na lodzie, cały kwietniowy dzień. Noc była dosyć zimna i wietrzna, z rana jeszcze bardziej wiatr zaczął wiać. Położyliśmy się, on na lodzie leżał i ja leżałem na lodzie. Maskowanie się w tych trawkach... Trawki dosyć wysokie, rzadkie, ale były.

Leżymy. Dopóki jeszcze szliśmy, było nam ciepło. Jak poleżeliśmy na tym lodzie, [ubranie] mokre, dzień chłodny, wietrzny jak diabli... Jak zaczęło nami targać, chłód. Jeść nie było mowy, nawet zabieraliśmy się, byliśmy jeszcze najedzeni na wyjście. Cukier mieliśmy suchy, bo przeniesiony, ciastka suche, tylko wszystkie ciuchy, prócz czapek uszanek, mokre.

I czekamy, żeby prędzej południe, żeby prędzej wieczora doczekać. I słuchamy, bo oni lubili, jak ucieczka, samolotami szukać. Słyszymy warkot silników – nie wiem, czy to były samoloty czy nie, ale samoloty to były. No, myślę, jak nalecą na nas, na ten dołeczek, w którym leżymy – jak szukają to nisko lecą, przeważnie na dwupłatowcach; specjalnie na to mieli garnizony wojskowe, samoloty wyposażone w sprzęt. Jakoś ten warkot silników samolotów się uspokoił. Leżymy. Dzięki Bogu doczekaliśmy, szarówka się zrobiła. Znowu jak się nie zerwalim, żeby się rozegrzać, żeby rozruszać się. Byliśmy tak zziębnięci – dzisiaj to by skończył człowiek, a wtenczas nic nas nie wzięło, kataru ni kaszlu, nic. Znowu w noc zrobione na pewno 100 km. Na południe, na południe.

Zanim myśmy do ludzi doszli, to trwało gdzieś półtora miesiąca. Samym stepem. Tam nie ma nawet śladów, że życie na świecie istnieje. Przestrzenie solne, zamięć solna. Jak sól osiadzie na ustach, to pragnienie. Jeszcze ja nie powiedziałem, że zabraliśmy wodę z sobą. Dętkę od motocykla wody zabraliśmy i rękawice gumowe – nie wiem, do czego one wykonane były, ale w jednej rękawicy mieściło się jakieś 4 litry wody. Dwie rękawice mieliśmy i dętkę wody. Ale od razu nie piliśmy z zapasów, wszystko nieśliśmy. Korzystaliśmy z wody [znalezionej po drodze], a jeśli piliśmy z dętki lub rękawicy, to zaraz dopełnialiśmy. Zanim woda była śniegowa, znajdowaliśmy wodę w stepie. Mało, ona już przemieszana z błotem, ze szlamem, ale jest. Woda to jest bogactwo.

W końcu doszliśmy do pustyni słonej, już tam wody nie ma, a jak znajdziesz wodę, to gęsta od soli, że nie sposób tego pić. A zamięć śnieżna, na usta jak szron osiadzie, trafia do organizmu, to powstaje pragnienie niesamowite. Myśleliśmy, że koniec z nami. Mieliśmy buty wojskowe, to zaczęły się rozpadać, sól przeżarła; na stopach skóry nie mieliśmy, sól wszystko nam zżarła. Zanim doszliśmy dalej.

Przeszliśmy przestrzeń słoną, doszliśmy już do rzeki, która tam przechodzi, nazywa się Czul. Odcinkami jest jako koryto rzeki, a są odcinki, że ona w piachach ginie i tylko bujne trzciny rosną w tym miejscu, gdzie woda przechodzi przez piach. A po 10, 20 czy 50 kilometrach znowu robi się koryto wody.

Doszliśmy do tych trzciny. W rzece Czul jest woda słodka, dobra. Wypraliśmy bieliznę sobie, już słońce zaczęło przygrzewać, het na południe zaszliśmy, coraz cieplej zaczęło się robić, wysuszyliśmy ciuchy. No i będziemy tutaj wypoczywali trochę, długo nie, ale wypoczniemy po tych galopach po stepie. Zaczęliśmy łązić po trzcinach, zrobiliśmy ognisko. Tam ptactwa, kaczek dzikich, nieloty jeszcze, wylęgnięte, z gniazda – już łążą, ale jeszcze na skrzydłach nie lecą. Jajek ptasich, tam kaczki i gęsi, tylko kaczki nie takie jak u nas; duże, białobokie kaczki. I widzimy, tu są i dziki w tych trzcinach. Ale dziki także nie takie jak u nas; malutkie kształtne, ryje mają krótkie, stepowe dziki. I sarny tam do wodopoju przychodzą, wilków stepowych, szakale nazywają, mnóstwo, roje po prostu. Lisy stepowe malutkie, takie jak u nas, rude są. Sarny są, gdzie żer mają, to ptactwo, to one tam się trzymają.

Opczywamy, wypraliśmy, leżymy. Pośród trzciny widzimy takie kurhany. Ale widać, że ręka ludzka je uczyniła – mogiły jakieś może? bo ja wiem, co to było? Te kurhany trzciny nie porośnięte. I taki piękny wschód słońca, godzina może 9, może dalej, zegarka nie mieliśmy. Do słońca, prawie na nagusa, położyliśmy się na kurhanie i leżymy sobie. Wysychają nasze ciuchy, bezpieczniej się zrobiło, bo tutaj pościg tak szybko nas nie sięgnie, a do tego zamaskowani. Trzciny tak rozległe przestrzenie, że okiem nie sięgniesz. A jeśli by jechać konno, to nie zobaczy się, takie urodzajne trzciny na tej rzece Czul. Leżymy sobie.

Pyt.: Byliście pewni, że pościg obozowy już was nie złapie?

Pościg obozowy już nas nie złapie, bo my mniej więcej liczyliśmy, ile dni idziemy, ile czasu, ile mniej więcej dziennie przeszliśmy. Dokładnie się tego nie obliczy, bo liczników nie było, ale mniej więcej orientowaliśmy się. Odeszliśmy już 1000 km od obozu.

Pyt.: I już czuliście się bezpiecznie?

Tak. Już poczuliśmy się bezpiecznie, już nawet we dnie poruszaliśmy się, chodzili po trzcinach, zdobywaliśmy jedzenie. Mieliśmy zapalki, nabraliśmy soli, chociaż ona niesmaczna; soli nie zabraliśmy z sobą [z obozu], to był nasz błąd. Ale nabraliśmy do jakiejś torebki soli z tych przestrzeni słonych, tego szronu słonego. Jedliśmy mięso ptactwa (te kaczki nieloty), jajka gotowaliśmy. Idąc po stepie znaleźliśmy wiaderko ocynkowane, co prawda cały czas śmierdziało benzyną – widocznie kierowca zgubił czy rzucił; gotowaliśmy w tym. Życie się poprawiło, woda jest, wszystko jest.

Porozkładaliśmy się na kurhanie i leżymy. Antek usnął, ja także już do uśnięcia, ale jakoś tak pierwszy poruszyłem się, otworzyłem oczy i przed siebie niby to wzrokiem rzuciłem. Widać było wierzchołek następnego kurhana, spoza trzciny. Ja patrzę, na tym kurhanie coś dużego stoi. Sam się przyglądam, później Antka szturcham, mówię: „Antek zobacz, co to jest takiego?” Antek patrzy — „Tygrys!” Jak zobaczyliśmy, że to tygrys, to szybko ciuszki swoje zwinęliśmy i w przeciwnym kierunku od niego ruszyliśmy. „To już koniec naszego gospodarowania” — mówimy. Mieliśmy tylko noże; on widział nas, czuł nas na pewno. Tylko, że głodny nie był, a do słońca wyszedł i wygrzewał się, tak samo jak my. [Gdyby był] głodny, to by nas rozszarpał. Prawda, może tam nie takie duże tygrysy, ponoć, tak słyszeliśmy, to jest mniejsza odmiana, kazachska. I koniec wszystkiego, koniec ptactwa; szybko w przeciwnym kierunku oddaliliśmy się. Kto tam by wiedział, położysz się, uśniesz, przyjdzie rozszarpie; chociaż one tam głodne nie były, było mięsa, mieli saren, wszystkiego, ale kto by mógł uwierzyć.

Zostawiliśmy tę rzekę Czui i poszliśmy dalej. Znowu stepem, ale już zaczęliśmy spotykać ludzi. Szliśmy, nie pamiętam ile to czasu trwało. Koczujące stada pasterzy, tam przeważnie hodują owce karakułowe. I te stada, tam taki jest system wypasania owiec i kóz. Jak zaczynają wypasac owce, założmy w Południowym Kazachstanie, tam jest ich rdzenna ferma, to gonią stada na północ, koczują, zanim woda jest, zanim trawa; tam już dalej spotykaliśmy i stepowe krzaki, nie takie jak u nas [w obozie] — tam była dzicz, kolące, nazywali *karagannik*. Owce to jedzą, pod tymi krzaczkami gdzieś jakaś trawa jest stepowa, tam się wypasa. Pasterze gonią po stepie, po Kazachstanie, że zanim przyjdzie zima to dogonią stada aż do Piotropawłowska, tam zima ich zastaje. Gonią stada przez południe [Kazachstanu], zanim przyjdzie lato i upały, zanim nie wysuszy [wszystkiego] słońce, i woda wyschnie. Mają łączność, krótkofalówki, mają do dyspozycji samoloty — w razie jakiejś choroby lekarza czy weterynarza przywożą samoloty.

A my z zapasami. Cukru używaliśmy początkowo 3, 4 łyżeczki herbatnie dziennie, braliśmy parę ciastek. Ciastka najpierw się wykończyły; schrupiesz 5, 6 i się schrupało i nie ma, został sam cukier. Widzimy, że już i cukru mało, już tylko po łyżeczce dziennie cukru. Myśmy zaczęli z siłą opadać. Ale jeszcze jako tako. Ale jak doszliśmy do ludzi, już trzeba szukać innego ratunku. Kraść. Będziemy kraść owce.

Szliśmy w nocy, tam już bawełnę uprawiali. A gdzie bawełnę uprawiają, tam są sztuczne nawodnienia, kanały; *aryk* to znaczy kanał. Jeden centralny kanał, od niego mniejsze kanały boczne, od tego bocznego jeszcze mniejsze i jeszcze mniejsze i woda podchodzi pod uprawę bawełny. Tam deszczów nigdy nie ma, w zimie opady są śniegu, ale w lecie kropli deszczu się nie spotka. Ile czasu tam byłem [w Kazachstanie], ni kropli nie widziałem.

No i doszliśmy do ludzi. Będziemy kraść. Idziemy w nocy, wypoczęliśmy koło kanału, woda była, już i klimat, i ptactwo. Posiedzieliśmy koło kanału, słyszymy — psy szczekają w nocy. To znaczy ludzie są. Troszeczkę posiedzieliśmy, zaczęło się rozwidniać, idziemy w tym kierunku, gdzie psy szczekają; coś zdobędzie się do żywienia. Wioska, lepianki z gliny. Ani to domem nazwać, takie po prostu budy z gliny ulepione, deszczu nigdy nie ma, to nie rozmyje. Tam ludzie miejscowi, Kazachy mieszkają. Podchodzimy do tego *aułu* (osada nazywa się *auł*), widzimy, że dużo lepianek, patrzymy co się dzieje, gdzie by co porwać. Może kury, może barany jakie. Zaczailiśmy się, były takie krzaczki kolące, pod krzaczkami położyliśmy się i obserwujemy lepiankę kazachską. Nic nie widać. Widzimy — wychodzi kobieta, wyprowadza dwójkę dzieci z tornistrami, do szkoły. Dzieciaki poszły do szkoły. Kobieta zachodzi z drugiej strony lepianki, otwiera malusieńkie drzwi, jakieś tam klatki, wypuszcza trzy małe, młodzietki kozłaki. No jest! Porwiem coś, kózkę... Jak wypuściła, myślimy, że one przyjdą tu do nas, pod krzaki, na pastwisko. A one hycają sobie przy lepiance i nie podchodzą. Czekamy godzinę i więcej, już słońce zaczęło prażyć, że nie ma gdzie się schować, a my głodni i pić się chce. Chociaż wodę mieliśmy. A kózczyki koło lepianki sobie baraszkuje. Mówię:

— Wiesz co, Antek, nie będziemy czekali na ich łaskę, że przyjdą. Ty tu czekaj z nożem na mnie, a ja pójdę, szybko złapię. Tylko czatuj, jak przyniosę, żeby łba utrać i pójdziemy.

Tak się stało. On został Antek, czeka na mnie, a ja do lepianki dobiegłem. Początkowo spłoszyły się, kózki zaczęły uciekać, ja nie mogłem złapać, jakoś dorwałem jedną, za łeb, pod pachę i do Antka. Ale za łeb — krzyczy, to ja za gardło zdusiłem ją i nosę. Przygnałem do Antka, a widzimy, już martwa ta kózka, zadusiłem. Wtenczas w nogi. Ale [ludzie] się spostrzegli, że coś takiego. Widzimy, że ta kobieta zaczęła wołać — myśmy nie słyszeli, ale musiała wołać o pomoc, zauważyła, że kózkę ktoś porwał. I pokazuje w naszą stronę. Nadbiegli ludzie, sąsiedzi, ona pokazuje, że „tam uciekli”. Oni nas widzieli, tam krzaki niskie. My chodu, widzimy tę niebezpieczną scenę, uciekamy. Ale oni mają konie, mają broń przecież. Uciekamy, uciekamy, woda się zaczęła. Zaczęła się woda, na razie po kostki, potem więcej, więcej i krzaczki robią się wyższe. Głęboko już po kolana i po pas się zrobiło.

Tam była budowa mostu. Wolni ludzie, gdzie było to zalewisko krzaków, most budowali. Czy tam była szosa czy co? I ci Kazachy posadzili, że to ci pracownicy stamtąd przyszli i porwali kózkę, i tam gnają. Jak zobaczyli, że myśmy zrównali się z tą budową, to zrezygnowali z gonitwy. Tak uważaliśmy, że pewnie pomyśleli sobie: „a tam, znajdziesz u pracowników...” — dużo ludzi tam pracowało.

Ale to nie koniec, trzeba uciekać, nie jesteśmy bezpieczni. Wody zrobiło się [jeszcze więcej]. Budowali most na kanale centralnym; skąd była woda w krzakach na tej przestrzeni, do dzisiaj nie wiem. Ale fakt faktem, że głęboko, ale krzaki były. Widzę, że Antek już ledwo zipie, on niższy ode mnie o całą głowę, pływać nie umie, ale czepia się gałązek. Jakoś przebrnęliśmy, dobraliśmy się do wysepki, wyleźliśmy. Słońce, ciepło, upał, rozebraliśmy się, szybko wysuszyć, bo namokliśmy wodą.

I iść dalej. Dalej po wodzie nie pasuje. Trzeba iść zaraz do brzegu i na most, żeby to przejść, dalej iść ku południowi. Trochę myśmy się obawiali; nie wiadomo, co za ludzie budują ten most, kogo tam można spotkać. Ale

idziemy, bo kanał tam szeroki był, jak głęboki nie wiem. Płynąć? Szybki prąd. „Idziemy – mówimy – przez most, co będzie to będzie. Wolni ludzie pracują, to nie więźniowie, może nas tam nikt nie zawadzi.”

Doczekaliśmy do zmroku, całkiem nie było jeszcze ciemno, idziemy przez most. Ludzie siedzą na balach drewnianych, papierosy palą. Zatrzymaliśmy się przy jednym, paru chłopów siedziało, *zakurit* poprosiliśmy, oni nam dali tabaki, dali nam zapalek – już żeśmy nie mieli – i spokojniutko ten most przeszliśmy.

Step dalej. Ale już ludzie są. Doszliśmy do kolei, która idzie do Taszkientu, skąd – nie wiem. Koleją także nie pasuje iść.

A Antka [Mickiewicza], mojego kolegi, żona była także w Południowym Kazachstanie. Jak jego osądzili, ją tam z dzieciaczką małym zesłali. Pamiętam, była w kolchozie im. Woroszyłowa. I myśmy wiedzieli, że to gdzieś jest niedaleko.

Pyt.: A jaka to miejscowość, w której był ten kolchoz? *Czonkient?*

To był Południowy Kazachstan, *oblast'* chyba *Czonkien*. A z kolei w drugim kolchozie, niedaleko – wszystko było [prze nas] wybadane i wymacane – mego brata Heńka żona z dzieckiem była zesłana. [Ich syn], dzieciak mały, mój chrześniak (w Stalowej Woli mieszka obecnie), został sam, po ludziach się poniewierał; ojca aresztowali politycznie, a matkę jako kulaczkę. Bogaty gospodarz – wróg narodu. I ona w Pachtarale mieszkała, *miejscowość Pachtaral*. (Ona już nie żyje).

Mieliśmy po tych przeprawach nogi poranione, tu upał, my jeszcze w kufajach, w czapach uszankach, a już dochodzi do czerwca; podejrzani jesteście.

Pyt.: Mieliście numery obozowe na ubraniach?

A skąd! [W obozie] mieliśmy, ale z sobą tego nie wzięliśmy. Ja miałem numer SSz – 139, a Antek – nie pamiętam.

Pyt.: I odpruliście sobie przed ucieczką, w kopalni?

Z numerami kto by tam poszedł! Numer na plecach mieliśmy, na czapce, na rękawie, na piersi i na kolanie, i to duże. Mało tego, jak dostawaliśmy ubrania, kufajkę na zimę, była przestrzeń wycięta kufajki, tylko biała szmatka wszyta. Trzeba było pielęgnować, żeby numer był czytelny, bo inaczej – do karceru. Trzeba było białą szmatkę jak zabrudziła się wypruć, nową przyszyć. Igły nie wolno było przy sobie trzymać. Ani noża, ani sznurowadła, nic; w obozie nie było tego. Nawet metalowy guzik nie miał prawa być. Igła... Każdy miał igłę, ale już nielegalnie; jak znajdą to karę dostaniesz. Chociaż oni wiedzieli, że każdy musi mieć, bo jak potargalo się spodnie, dawano się do remontu, był specjalny oddział więźniów – remontowali, naprawiali buty. Przy sobie nie wolno było mieć, ale kto tam [z nadzorców] igłę znajdzie.

Antka żona była i mojego brata żona była tam [w tamtych okolicach]. My jesteście poturbowani i podejrzani w ciuchach zimowych. Co tu robić? Trzeba szukać ratunku. Antek zajdzie do żony swojej, a ja zajdę do bratowej. Odszukam. Ale znowu jesteście świadomi tego, że tam mogą czatować na nas. To nie tak prosto. To są bolszewiki przezorne.

Idziemy, idziemy, jeszcze kawał było do tych kolchozów, ale to już w Południowym Kazachstanie. Dobijamy do rzeki Syr – darii, w Aralskie Jezioro ona wpada. Dochodzimy, była miejscowość Kizorda, dobijamy do rzeki akurat przy samej elektrowni. Rzeka trzy razy taka jak Wisła, płynąć przez nią? Antek pływać nie umie. Co robić? Trzeba przedostać się przez nią. Jak to nad rzeką – trzcina było, szuwarów. Powiązaliśmy pęczki tego wszystkiego i na tych pęczkach w nocy przez rzekę. Ale przez rzekę się przedostać taką szeroką nie tak prosto. Woda nas zabrała, niesie, my rękoma gramolimy się, żeby dobić do przeciwległego brzegu... Utonąć nie utoniemy, bo powiązaliśmy mocne łań pontony i na tym leżymy. [Nurt] goni nas do mostu, most widzimy, żelazny, wysokie konstrukcje pałkowate. A u Rusków wiadomo – jak jest most, to i warta, wojsko stoi. Każdy most, nawet nieduży, każdy taki obiekt jest strzeżony przez wojsko, dzień i noc. Z jednej strony mostu stoi warta i z drugiej strony stoi, tam budka wartownicza i tu. Jak nas zauważą to koniec – zastrzelą albo co.

Nie ruszaliśmy się, przyczailiśmy się do szuwarów, na których żeśmy leżeli i płyniemy. Dopłynęliśmy pod most, cisza, cisza. Przepłynęliśmy pod mostem. I jak już odpłynęliśmy dalej, znowu zaczęliśmy wiosłować i het tam, daleko wyszliśmy na ląd.

Wyszliśmy na ląd, dobrze. Wyszliśmy się. Znowu spotkaliśmy ludzi, jeden na wielbłądzie jechał, dał dla nas także tabaki. My w zasadzie unikaliśmy ludzi, ale jak nie było wyjścia, to trzeba było się spotkać. Idziemy dalej, po stepie do kolchozu. Widzimy kolchoz, już budynki takie dosyć, nie lepianki, a domki. Idziemy, będziemy szukali czegoś do jedzenia, nic już nie mamy. Doczekaliśmy wieczora, słońce w tym czasie zachodziło. A ten gospodarz, do którego myśmy zachodzili, Kazach, mieszkał w jurcie. Jurta to taki szałas, tam u góry przestrzeń, na środku ognisko się pali, dym wychodzi, wielbłądzie dywany, grube z wełny wielbłądziej, oni na tym siedzą. Nie ma stołków ani stołu – ognisko się pali, Kazachowie tam siedzą. Kazach bez jednego oka, z czarną przepaską. „Zdrawstwujcie.” – „Zdrawstwuj.” Kazaczki, głosu specjalnie kobiety nie mają. Tam tylko Kazachowie, on *chaziain*.

– *Sadities' pažausta.*

– *Niet, niet wremieni. Jest' u was szto nibut' pakuszat'?*

– *A kto wy takije?*

Ja mówię, że jesteście kierowcami, jedziemy z Kizylgin, z tego co nad rzeką, i samochód dla nas się zepsuł i idziemy teraz do Czonkientu.

— *Kak, pieszkom idietie?* — Jak to, piechotą idziecie? — No piechotą, a co mamy robić, *a szto mamy dielat?*
Maszina isportilas, idiom pieszkom.

— *Siejczas u nas radio jest, siejczas samalot priletit i was zabieriot.* — Samolot przyleci i was zabierze.

My mówimy: — Nie, to niedaleko... — nie wiedzieliśmy.

— *Kak niedaleko, 250 km* — jeszcze do tego Czonkientu całego — a wy *pieszkom pojdiemie?*

Widziałem, że to nie przelewki.

— A wy dokumenty jakieś macie?

— *Niet, wsio ostalos'.*

— *Kak ostawili* — dokumenta w samochodzie, jak to jest? A wy do partii należycie?

— Należymy.

— A wasze *partbiliety gdzie? Wy partbiliety ostawili?* — mówi. Już do nas surowo, wstał, nastroszył się ten Kazach bezoki. Bierze nas już na krzyk. Widzimy — tutaj nie przelewki.

Co robić? Antek wyszedł z jurty niby zapalić papierosa. „*Kuritie* — mówi — *zdies*” [w jurcie]. Nie — on mówi, wyszedł zapalić. Jak Antek wyszedł, ja za nim. „Co robimy?” Ano, noże zza cholewy, wpadamy w jurte i do tego Kazacha:

— *No szto, chaziain, chlieb u was jest?* — Chleb u was jest, pytamy.

Ten od razu zbladł, Kazaczka też w kąć gdzieś się zaszyła. „Tam — mówi — chleb.” A tam chleb tylko kukurydziany, takiego jak u nas nie ma. My chleb do tobołka i z jurty wyszliśmy. A Kazakowi kazaliśmy tak nożem, Antek odchylił ten gruby filc co oni mieli i tym filcem i przydepnął go tym, przykrył.

Z jurty i w nogę chodu! Ale to długo nie trwało. Oni się ocucili, puścili zgrają psów za nami. Widzimy, że te psy to nas poszarpią. Mieliliśmy zapasy, nie rękawice z wodą, ale butelki rozmaite, znaleźliśmy (gdzie ludzie byli, to w butelkach już wodę mieliśmy) i torby. Już widzę, że mnie dorwą te psy, a jak dorwą to rozszarpią. To już ostatecznie — myślę. Butelkę wyjmę z plecaka i [rzucę] do tyłu w te psy, to trochę odskoczą; tak oddaliliśmy się, i dalej poszliśmy.

Później już doszliśmy niedaleko kołchozu Woroszyłowa, w którym Antka żona była. Ale jak ją odszukać w kołchozie? Pamiętam jak dziś, był taki bardzo urodzajny łąn koniczyny zasiany. To niedaleko Taszkientu, tam klimat bardzo ładny, powietrze zdrowe, ptactwo, aleje, drzewa, sady. Leżymy w tej koniczynie i radzimy, co robić. Mówi: „Ty Wojtek leż tutaj, a ja pójdę szperać po kołchozie, może spotkam kogoś z białych ludzi. Może nawiążę jakiś temat, czegoś się dowiem, może z przesiedleńców kogoś spotkam.”

Poszedł, ja leżę w tej koniczynie. Trwało może 2 godziny, Antka nie ma, już mnie zaczął dręczyć niepokój — może gdzieś wpadł. Za jakiś czas słyszę — ktoś po tej koniczynie idzie. Nie wołam nic, tylko zerkam w tej koniczynie, kto to może być. Podchodzi bliżej. „Antek, ty?” — „No ja. Znalazłem — mówi — żonę, zaraz tu przyjdzie, przyniesie dla nas jeść i przyniesie szpadel.” Przyniosła szpadel i mówi: „Zaprowadzę was w takie miejsce, że was nikt nie znajdzie”.

Wąwóz był, strumyk dosyć porwisty, tylko bardzo dużo żmij i węzów. Tego tam była plaga.

Jak szliśmy jeszcze przez pustynię, we dnie ich niby nie widać, tych węzów, żmij, ale jak się położymy odpocząć albo uśnie się, to te węże szukają ciepła. Noc chłodna, klimat kontynentalny, dzień jest upalny a noc chłodna. Węże [chcą się] skryć — do ubrania powłają, mieliśmy kożuszki, to pod kożuchy. My w końcu zaczęliśmy z tego nic [sobie nie robić]; początkowo to nas raziło i niebezpiecznie niby było, ale nic się nie stało. A skorpionów ile jest w stepach. I tzw. fałangi, takie jak pajak potężny. Fałangi tylko groźne są w maju, jak ugryzie w maju to raczej nie ma ratunku. Jeszcze na *obogatitelnoj fabrice* [w obozie, w Kingirze] jak pracowaliśmy, taki spawacz Łotysz pracował, nie pamiętam nazwiska, segmenty, kolana do rur robił i akurat fałanga w tej rurze była. On wziął ręką, żeby przenieść w inne miejsce i zdążyła go ugryźć. Długo nie trwało, chyba 4 godz., już było po nim.

Pytanie firmowe T. Gleba: Te fałangi to były pajaki takie duże?

Pajaki. *Fałangi* boją się owczej skóry. Jak wyczuje, że coś od owiec pochodzi, to już się nie zbliży. Bo najgorszy wróg *fałangi* to owca, one je zjadają, to pierwszy przysmak dla owcy. Potężny pajak, włochaty, paskudny, okrągłe pajęczysko, niemrawe takie. Takie nieskore. Bo skorpion to on skory jest, on ucieka, jak nie ma rady to zaatakuje, ale raczej ucieka, bo to żwawe, a *fałanga* niemrawa. taka.

Pyt.: Ale wam te *fałangi* groziły, bo w maju...?

No groziły, ale nas to ustrzegło, że myśmy mieli kożuszki owcze, króciutkie bezrękawki; do nas *fałanga* się nie zbliżyła. Tylko, że pasowało to dla węży, poczuły ciepło, to [do nas] przychodziły.

Poszliśmy. Żona Antka zaprowadziła nas do tego wąwozu. Powiedziała, że powinniśmy sobie wykopać pieczarę w ścianie wąwozu, żebyśmy obaj się pomieścili, i że będzie każdej nocy przynosiła coś do zjedzenia, „powypieram dla was bieliznę, poreperuję co trzeba.” Na imię jej chyba było Władysława, nie pamiętam. Poprosiłem, żeby przyniosła nici, igły mocniejsze, żebym buty mógł naprawić. Buty już z nóg nam spadały, sól zjadła. Ponaprawiałem, ale na stopach kompletnie nie mieliśmy skóry.

Do brzegu rzeki było jakieś 5–6 m od tej naszej pieczarki. Ziemię z pieczary wrzucaliśmy do rzeki, żeby śladów nie było, wszystko zmaskowaliśmy, tam było gałęzi rozmaitych wsadzone, kolących. Żona Antka codziennie przynosiła [jedzenie]. To trwało może tydzień, może trochę więcej, 8–10 dni myśmy tam byli, zanim nie okrzepliśmy. A ja zacząłem odczuwać coś z żołądkiem. Przestałem jeść. Ona przynosiła dosyć smaczny kapuśniak, co ja lubię, na baraninie; tam mięsa innego nie ma, ale ja lubię baraninę. Jak tylko zjadłem, to mnie żołądek [boli], jakaś niestrawność. Myślę — co to będzie, zapadnę na chorobę jaką, to już nie ma mowy dalej iść. Ale nic, kilka dni to trwało, jakoś minęło, zacząłem jeść, przybrałem na sile.

Nie ma sensu długo siedzieć. Trzeba zmienić ubrania. Dla Antka Mickiewicza żona się postarała o ubrania, ukradkiem. Nie można tego nazwać dobrym ubraniem, ale bądź co bądź były to łachy letnie, że nie rzucało się w oczy. Bo myśmy w kufajach byli, w czapkach uszankach, a już koniec maja. Mówię: „Antek, zróbmy tak. Ty znalazłeś żonę, ja teraz pójde, znajdę bratową, może ona jakieś ciuchy zdobędzie. Przeberniemy się i spotkamy się ponownie i pójdziemy dalej, odpoczniemy.” I tak się stało.

Antek został w pieczarze, ja poszedłem szukać kołchozu. Miejscowość Pachta — ara!, ale kołchoz jak się nazywał — nie pamiętam. Tam był skup bawełny, zwożono duże zapasy, i fabryka wstępnej obróbki, ziarna z bawełny odseparowywała, a reszta szła gdzie indziej, uszlachetniali bawełnę. Idę ja. Dochodzę do tego kołchozu, ponoć tutaj ma być brata żona. Tam także kanały, przyroda piękna. Dochodzę, obawiam się do centrum kołchozu zachodzić, nie wiem czy tam milicja, tam może być wszystko. Ale nic, idę, nad kanałem usiadłem, wyjąłem papierosa, palę, idzie jakiś staruszek, lat może 60. Patrzy na mnie i mówi: „Sztó ty malczik sidisz?” Ja słucham, a „malczik” to po białorusku chłopak. A — myślę — po białorusku, to znaczy ty pochodzisz z tamtych stron, skąd ja. Odpowiadam: „Otdychaju. Zakuri diad'ka, sa mnoj.” On siada, ja wyjmuję papierosa i palimy. Ja tak do niego:

— A otkuda wy diad'ka? Nie z Białorusi czasem jesteście?

— Da — mówi — z Białorusi.

— A z kakoj miestnosti? (Z jakiej miejscowości?)

— A rejon braslawski.

To jest z mojego rejonu. Pytam: — S kakoj dieriewni? Z jakiej wioski.

— Zabroniki.

— A familia wasza kakaja?

— Undrul — mówi.

— A ty, diad'ka, w Galince Jasia Nowicza znał?

— Charoszyje sąsiedzi — mówi — fajne ludzie.

A tam moja rodzina była, ciocia mieszkała w Galince obok tego Undrula.

No i gadamy, wypaliliśmy jednego papierosa, żeby temat prowadzić dalej. Zaraz widzę, że łakomy zapalić, wyjmuję następnego papierosa, kurim, palimy dalej. I okręzną drogą pytam go: „A w Opsie wy kogo znacie? Tam parafia Opsa była, co ja się urodziłem, chrzczony byłem w kościele parafialnym.” A wsiech — mówi — wszystkich znam w Opsie., A za Opsą, co myśmy mieszkali — Dauble, na przeciwległej stronie Opsy: Mówię: — A za Opsą wy kogoś znaliście?

— A znałem, wszystkie wioski, Kupczele, Dauble... Dużo ludzi znam. Z Daubli Milewiczka znam — mówi — co wójtem za Polską był. I Płaskowicki był taki, miał krawca syna... — a to sąsiad, który graniczył z nami.

— A Zakrzewskiego wy nie znaliście?

— Znałem Zakrzewskiego, ale ich — mówi — nieszczęście spotkało. Wszystkich aresztowali za AK, sądzili po 25 lat.

Myślę: cholera, co robić, przyznać się jemu? a znałem tych ludzi, przecież tam ciocia mieszkała, po sąsiedzku. Osobiście go nie znałem, ale on mojego ojca znał, często się bywało, było może 6 km do tej cioci od nas. Ojca znał. I on zaczyna mnie opowiadać, jak to aresztowali. „Porozbierali ich budynki, został tylko jeden ich mały malczyszka, pacan został, ~~ten co zmarł~~”. Poniewieriał się, u ciotki w Galince bywał.,

Tak mi się pokazało, że ten człowiek nie zdradzi mnie może, ale jeszcze obawiam się. Siedzimy, palimy papierosy nad tym kanałem już dłuższy czas. Ja do niego „diad'ka,,, to znaczy wujek. Takie powiedzenie było u nas w regionie, diad'ka to bliższy człowiek. I mówię:

— A ty, diad'ka, nie wiesz czasem? Nie ma u was w kołchozie — Irena Zakrzewska?

— Znam — mówi — po sąsiedzku mieszka. Tu jeszcze są Pietkiewiczze z Rozalinowa. Bronia jest... — A Bronia to kiedyś moja sympatia była. — Bronia jest, Ela i starzy — stary Jan Pietkiewicz z Rozalinowa. Niedaleko mieszkają w lepiance, na zesłaniu. Nas razem tu przywieźli, mnie, i Zakrzewską Irenę i Pietkiewiczów. I Wacek Ciulewicz jest. Chodź, zaprowadzę cię do nich.

Chodź to chodź, ale, cholera, jak tu iść? — myślę. Zaczynam do niego w ten sposób:

— A tu tak można? Kołchoz, fabryka bawełny, wolno tak chodzić postronnym? Bo ja tutaj nie mieszkam.

— A wolno, tutaj w ogóle nikogo nie ma, milicjanta, nikogo — tłumaczy dla mnie. — Śmiało wolno chodzić.

Może na teren zakładu nie wolno. Zakrzewska Irena na fabryce pracuje, tam.

Myślę: powiem temu człowiekowi, kim jestem.

— A co byś ty powiedział, gdybyś spotkał Zakrzewskiego Bolesława? — mój ojciec Bolek jest.

— Oj, to był człowiek dobry, wszystko jemu oddałbym.

— A jeśli jego syna byś spotkał, co byś ty jemu dał?

— To wiem — mówi — że dwóch braci było, z wojska wrócili. Przyjąłbym jak rodzonych braci.

Mówię: — Ja Zakrzewski jeden. Potrzebuję gdzieś się przytulić na parę dni.

Patrzy na mnie. — No to chodź do mnie.

Poprowadził mnie do siebie. Zaszliśmy, powiedział o mnie swojej żonie. Żona zaraz nasmażyła jaj, poczęstowali mnie, porozmawialiśmy jeszcze, powspominaliśmy. Mówi: „Chodź, teraz zaprowadzę cię do Zakrzewskiej., Już wieczorem, szarówka była.

No i spotykam brata żonę, ona mnie zobaczyła, "Rany Chrystus, skąd ty Wojtek się wzięłeś tutaj?.. Mówię: "Potrzebuję pomocy od ciebie. Ciuchy jakieś letnie...,, – "Będą jakieś ciuchy, co się martwisz, jutro wszystko zorganizuję.., Zaczęła mi opowiadać, kto tu jeszcze jest, "wieczorem – mówi – pójdziemy do Pietkiewiczów, zobaczysz swoją Bronię, Wacka Ciulewicz zobaczysz.., To mój dobry, wierny przyjaciel był, po sąsiedzku chowaliśmy się razem i do szkoły chodzili. No i spotkałem wszystkich. Każdy zaczął szperać, nabierali ubrań, co na mnie pasowało, przeumundurowali w cywilne, że już niepodobny byłem do więźnia, ogoliłem się oczywiście – chociaż my się golili w drodze, mieliśmy brzytwę.

No i Renia mówi... bo jeszcze brata żonie nie powiedziałem, jak się tutaj znalazłem. Ja mówię – słuchaj, taka i taka to jest sprawa. Załamała ręce i mówi: "Coś ty narobił, ciebie złapią, zabiją. Co będziesz robił?.., Ja mówię: "Ja tutaj do ciebie na stałe nie przyszedłem, lada dzień odchodzę. Nie jestem sam, jesteśmy we dwójkę z kolegą..,

– A gdzie wy pójdziecie?

– Co to, jeden Sowiecki Sajuz na świecie? Do Iranu pójdziemy.

– Może i dobrze byłoby, tam was nikt by nie ruszył, jakbyście się dostali do Iranu.

Mówię, że mamy zamiar się tam przedostać. Czy się przedostaniemy czy się nie to nie wiadomo, ale takie plany mamy.

Jeszcze dwa czy trzy dni byłem u niej. A jak wieczór, naokoło psy szczekają. I ta sama Renia mówi: "Co te psy teraz, jak ty przyszedłeś, tak szczekają? [Może ktoś tu łązi i podgląda?.., Przeszedłem wtenczas do Pietkiewiczów. Przychodzi jednego razu do nich jakiś Kazach. Niby to mnie nie obserwował, ale ja skapowałem, że osaczony jestem. Nie mogę tego powiedzieć, że ten Undur mnie zdradził, ale oni [Sowieci] wiedzieli, że tam jest brata żona zesłana i [pewnie] już ślad zwęszyli.

Bo jak kradliśmy te owce, szliśmy jeszcze przez pustynię, ale tam już ludzie byli. Pastuchy wypasali owce karakułowe, zaszliśmy do nich, widzimy – same kobiety są. Oczywiście jeść zdobyć tam, chleb, mąkę kukurydzianą, specjalnie nic więcej nie mają. Chleb kukurydziany, mąka zaprawiona koncentratami, tłuszczami, olejami, że ją tam do wody się wysypie, ugotuje, już powstaje takie danie. Zachodzimy do tych kobiet. A ja, kiedy uciekaliśmy, prawie dla każdego Polaka w obozie robiłem z nierdzewnej stali takie pierścionki z orłem – tarcza biała – czerwona i orzełek. Z kopiejek rosyjskich srebrnych wycinałem orzełki i tam przymocowywałem. To prawie każdy miał, mojej produkcji. I ja w ucieczce także miałem ten pierścionek z orzełkiem na ręku. I kiedyśmy zaszli do tych kobiet, to jedna Kazaczka, młoda dziewczuszka, spostrzegła, że u mnie na palcu jest, a oni lubią takie błyskotki, bo tego tam nie znają. Patrzy na to i patrzy, a my prosili, żeby sprzedali dla nas chleba. My pieniędzy nie mamy, ale na razie to takie udawanie, że mamy pieniądze. I ta młoda dziewczuszka, może miała lat 17, po rosyjsku rozmawia. Mówi, że wszystek chleb, co ma, odda mi za ten pierścionek. "Padari mnie, sprezentuj mnie ten pierścionek.., To był błąd mój, nawet nie zdałem sobie sprawy, że z tego może być ślad namacalny, że tu byliśmy. Ja ten pierścionek jej oddałem, ona zaprowadziła do swojej jurty, chleba cały plecak nakładłem, wszystko oddała – ona zadowolona i ja zadowolony, i poszliśmy. Podziękowałem jeszcze, porozmawiałem, mężczyzn żadnego nie było.

A jednak wtenczas, kiedy już mnie złapano i ponowne śledztwo było, badanie, to mnie śledczy zarzucił taką rzecz.

– A komu ty sprzedał, komu sprzedałeś pierścionek swój, jak przechodziliście wśród Kozaków?

Mówię, że ja nie *prodał*, ale widzę, że oni wiedzą to dokładnie i dobitnie, że to jest fakt. Nie było sensu się wymigiwać i przeczyć faktom, to specjalnie nie obciążało, ja sprezentowałem dla niej. I oni właśnie wtenczas nadybali nasz ślad. Być może, że przyjechali mężczyźni, wtenczas same kobiety w tym gronie myśmy spotkali. A być może na wieczór czy kiedy tam przyjechali mężczyźni i oni zobaczyli ten pierścionek, może doszło do jakichś władz. Kazacy nie zdawali sobie z tego sprawy co to znaczy, że to jest polskie godło, ten orzełek, ale NKWD wiedziało dokładnie, jeszcze na biało – czerwonym polu. I oni tam ślad nasz wzięli.

Wtenczas, jak ja już byłem tam [w kołchozie u bratowej], oni już czatowali na nas. Kiedy byłem już u Pietkiewiczów, już mnie osaczyli całkiem. Przychodzi po cywilnemu, młody, fest chłop, Rosjanin. I mówi do mnie tak bezpośrednio, że ma dobre wino, "chodź, idziemy napić się wina. *No pajdiom wino wypit'*.., Poszliśmy, tam cała uczta była enkawudzystów. Kiedy tam doszedłem – "My znam, kto wy jesteście.., Zaraz kajdanki na łapy i do milicji, i aresztu milicyjnego, później na samolot do Czenkientu, na pociąg, do Groznego do więzienia, i z Groznego znowu na pociąg, ale tam był już wagon więzienny tzw. *stohypin*.

Przywieźli mnie do Alma – Aty, później do Barnaulu i skierowali na Karagandę, Pietropawłowsk i do Kingiru. Przywieziono mnie do Kingiru, a brat, Henryk, był jeszcze w Kingirze. Ale mnie od razu w takie miejsce, że nie ma łączności. Ale jednak porozumiałem się z bratem. Trudno było to trudno, ale nieraz brat coś tam z żywności przekazał. Już były podejmowane numery, już bez numerów w więzieniu. To było już po Berii, już chyba za Malenkowa czy za Bułganina, nie pamiętam. Stalina już nie było, a kto u rządów był? bodaj że Malenkow, on co prawda krótko, ale był.

No i badania śledcze, paragraf 82, to za ucieczkę. Ja miałem odsiedziane 6 lat chyba, to dla mnie ginie, od nowa 25 lat. Pierwsze 3 lata w samotnej celi, nie w obozie, a samotnej celi więziennej. No i po sądzie jeszcze dłuższy czas byłem w Kingirze.

Pyt.: A sądzono pana w obozie?

W obozie, dosłownie w Kingirze.

Pyt.: A to był publiczny proces, więźniowie byli obecni?

Nie, nie było nikogo. Mam ten wyrok, pokażę. Wypuszczono mnie do obozu później po sądzie, spotkałem się z bratem, w jednej ziemlance jeszcze mieszkaliśmy. Powstał taki troszeczkę luz po śmierci Stalina, nie było rygoru, już nie zamykali baraków na noc pod klucz, wszystkie *otdzielenija* – 4, 5, 6, tylko kobiety nie – połączyły się w jeden obóz.

Pyt.: A kiedy pan uciekał z obozu...

Ja uciekałem z Rudnika.

Pyt.: Ale był pan w obozie, pracując na Rudniku mieszkał pan w obozie. Czy były baraki zamykane na noc?

Zamykane, a jakże, za Stalina. Ale w tym czasie co ja uciekałem, nie jestem w stanie powiedzieć czy byliśmy zamykani, chyba już nie. Ja nieraz słyszę takie odgłosy, że po śmierci Stalina nic się nie zmieniło. Dużo się zmieniło na lepsze. Pierwsze to, że pozdejmowano z nas numery, już nie obowiązywały numery. W obozie zanim numery były to nazwisko nie istniało, jak politruk wołał to tylko numer. Przychodzi z nadzoru obozowego, "numer SSz – 139, jest taki?„ Jest. Tam nazwisko nie obowiązywało. I w razie coś nadzór spostrzeże, że ktoś coś psioczy, coś robi niezgodnie z przepisami, to tylko numer zapisał. Nazwisko nie odgrywało roli. I numer musiał być czytelny.

Pyt.: Czy po śmierci Stalina dobiegły was jakieś wieści o strajkach w obozach np. na Workucie, w Norylsku, na Kołymie?

Słyszeliśmy, że był strajk... nie mogę przypomnieć. W zestawie nazwisk, który otrzymałem od państwa, jest takie nazwisko. Właśnie po strajku w Ekibastusie przywieziono do nas do obozu. Jak tam strajk stłumiono, do nas część ludzi przywieziono, ale oni długo nie byli u nas. Ich szybko zabrano.

Pyt.: A w którym to mogło być roku?

Jak przywieziono tych z Ekibastusa to ja jeszcze byłem przed ucieczką, to rok może był 1950 czy 51.

Pyt.: Przywieziono ich na Rudnik?

Nie, do Kingiru, ale oni długo nie byli.

Pyt.: A tam byli Ukraińcy czy kto?

Tam byli i Ukraińców i Polaków. Nawet ja jednego znałem.

Pyt.: W tej naszej ankiecie jest nazwisko?

Tak.

Pyt.: A to Polak?

Polak, jest w ankiecie.

Pyt.: Giedroyć?

O, Giedroyć.

Pyt.: A innych Polaków z tego transportu z Ekibastusa pan pamięta?

Wiem, że było. Bodaj że ksiądz był pod nazwiskiem Woroniecki. Ale ten transport, ich dużo nie przywieziono, mogło być 100, może 200 osób. Pamiętam dokładnie, jak ich przywieziono. Ich osobno w baraki zakwaterowano, w ziemlanki. I nie w stanie powiedzieć czy to było już po Stalinie, czy za Stalina, ale zdaje mi się jeszcze za Stalina z Ekibastusa przywieziono. Ja tam chodziłem. Ja z Giedroyciem spotkałem się, zaczęliśmy rozmawiać, oznajmiliśmy sobie, on że Polak, ja że Polak, ale w pierwszych momentach znajomości istniała jeszcze nieufność do ludzi, nie wiadomo kogo spotyka się.

Pyt.: Czy już wtedy były te morderstwa donosicieli?

Rozprawiano się z donosicielami w okresie przed strajkiem w Kingirze. Ja czytałem, mam tę książkę *Sołżenicyna*, tam jest wspomnienie o "Kaczuszcze,, Chińczyk; pamiętam ten fakt, jak go przestrelono, tylko czy z tego wyszedł żywy – nie mogę stwierdzić. Cały obóz tego Chińczyka znał, był pocieszny, po rosyjsku bardzo mało mówił, fajeczkę palił, malutki był jak kaczuszka i stałe chodził z laseczką. Tą laseczką żonglował, że mu koło palca chodziła. Tak umiejętnie nią manipulował, że nigdy nie spadła, nie oderwała się od kciuka; jak on to robił, nie wiem. Nazywali[śmy] go Wania – Wania. On nieraz ordynarnie mówił: "Jak pieniądze jest to Wania – Wania, jak *dieneg niet* – pierdolony Chińczyk,,. I ponoć wartownik z wieżyczki rzucił papierosów paczkę – ja tego nie widziałem osobiście, ale wiem, że ten fakt był, za mego pobytu jeszcze – i kazał mu zabrać te papersoy. Jak on nachylił się zabrać, to wartownik go przestrelił. Ale czy [żywy] wyszedł z tego przestrela to już nie wiem.

Pyt.: To był wyjątkowy przypadek prowokacji wartownika czy często się zdarzało?

Nie, to nie był jeden przypadek, było dużo przypadków. Ale jak więźniowie widzą, że takie coś się dzieje, to kto by tam poszedł, paczkę papierosów wziąć?

Pyt.: Tzn. tylko on się na to nabrał?

Nie, tam jeszcze się nabrało. Ale czy ci ludzi wyszli, czy zostali uratowani z tego postrzału, nie wiem.

Pyt.: A zdarzały się w Kingirze głodówki albo odmowa wyjścia do pracy np. całej brygady?

Jako brygady jednej [całej] to tego nie było. Jak zaistniał strajk, to cały obóz został.

Pyt.: Ale przed strajkiem?

Nie, tego nie było, zanim Stalin żył. A głodówka, to nie dawało skutków. Kto tam się martwił, chcesz głodować – głoduj, zdechniesz – no to zdychaj. Po człowieku jednym czy po brygadzie będą rozpaczali? Kto tam by rozpaczał. Za girę i na cmentarz.

Pyt.: Czy w tej grupie przywiezionej z Ekibastusa byli jacyś ludzie, którzy byli uważani za przywódców?

Z Ekibastusa to raczej nie. Przez to wiem, że nie było, bo cały transport z Ekibastusa osobno całkiem był w kingirskim obozie; kilka ziemlanek było [przez nich], przez tych nowych, zasiedlonych. I w tym był Giedroyć i ten

Woroniecki ksiądz. Ale jeśli chodzi o przywództwo, to był jeden taki, ja go znałem i każdy go znał, to był... jego osądzili potem po tym strajku kingirskim... To był stary oficer radziecki, w stopniu chyba pułkownika, ale osądzony, także skazany na 25 lat...

Pyt.: Może Kuźnicow?

Kuźnicow.

Pyt.: A jak jego imię?

Nie wiem; mój brat Heniek pamiętał, jeszcze rozmawialiśmy.

Pyt.: A Pan znał Kuźnicowa przed strajkiem?

Znałem, ale wtenczas, kiedy ja go znałem, jeszcze tego strajku nie było.

Pyt.: On już wtedy miał autorytet, był znany?

Nie, jako osoba wybitna, wyróżniająca się jeszcze w tym czasie nie. Jego wybrano w czasie strajku, upoważniono do prowadzenia tej całej sprawy, jako oficera.

Pyt.: A czy Kuźnicow przyjechał w tym transporcie z Ekibastusu, pamięta Pan?

Nie, on nie przyjechał w tym transporcie. Nie umiem powiedzieć. Sądzę, że nie, dlatego, że ten transport ludzi, który przywieziono z Ekibastusu, to długo nie był [w Kingirze], ich wnet zabrano gdzieś indziej, ale Kuźnicow był [w Kingirze].

Pyt.: Ci ludzie z Ekibastusu długo byli w Kingirze?

Nie, długo nie byli.

Pyt.: Parę dni? Paręnaście?

Nie; więcej, może miesiąc.

Pyt.: I cały czas byli odseparowani, nie wpuszczano ich na baraki?

Nie, z nimi można było się spotykać, tylko że z nich potworzono [oddzielne?] brygady. Oni zdaje się chodzili do pracy na klub, budowali klub; ale to długo chyba nie trwało.

[Do dziś to pewnie tam stoi], to wszystko budowano jako miasto stacjonarne, nie jakieś lepianki albo jurty, a potężnie budowane, masywne. Później DOZ budowaliśmy, Drewoobdiełacznyj Zawod, z drewna coś robili.

Pyt.: A jakie były nastroje wśród ludzi, których przywieziono z Ekibastusu, czy oni byli zorganizowani, silni czy raczej była to gromada...

W moim mniemaniu to był element dość zorganizowany. Ja chodziłem [do nich], poznałem się z Giedroyciem, ale oni do nas czuli jakąś nieufność. Chociaż ja się temu nie dziwię. Początkowo, jak zawieziono nas do Kingiru, pierwsze dni obozowe, człowiek był takie ciele obozowe. Później dopiero doksztalcił się, doszlifował i dostosował się do życia obozowego. Tam za bardzo ufnym nie można być, tak samo jak w celi więziennej. Ufać każdemu nie można zaraz z kopyta, z mety; trzeba poznać człowieka co to za on, a poznać człowieka to trzeba bekę soli zjeść, tak przysłowie głosi.

Pyt.: A co oni mówili o swoim strajku w Ekibastusie, opowiadali coś?

Czy my na ten temat rozmawialiśmy?

Pyt.: A było wiadomo, że oni przyjechali po strajku?

Tak. Ich rozwieźli po strajku.

Pyt.: I kiedy ich przywieziono do Kingiru to wy wiedzieliście, że w Ekibastusie był strajk.

Mnie trudno teraz powiedzieć. Chociaż ja już dobrze byłem zaprzyjaźniony z tym Giedroyciem, on co prawda wiele starszy ode mnie; sylwetka i w tej chwili u mnie w oczach stoi. Ale nie jestem w stanie powiedzieć [o tamtym strajku].

OPIS FOTOGRAFII

Zdjęcie nr 1, z psem – Wojciech Zakrzewski.

To zdjęcie jest robione w 1958 albo w 1957 roku w obozie, w zbiorowym punkcie, gdzie Polaków szykowano na odsyłkę do kraju – w Poćmie.

Zdjęcie nr 2, z lewej Wojciech Zakrzewski, z prawej Żorka.

Nazwiska jego nie pamiętam. To jest brygada, w której pracowałem, Rosjanie, tu Polaka nie ma żadnego. Zdjęcie zrobione w obozie Szeksna, niedaleko Rybińska, Czelabowiec. Przed pobytem w Poćmie.

Zdjęcie nr 3, Poćma 1958, w środku Wojciech Zakrzewski, z lewej Polak, nazwisko nieznane, z prawej Józef Zawadzki (mieszka w Gdańsku).

Zdjęcie nr 4, 21 kwietnia 1957, Szeksna, Wielkanoc. Od lewej u dołu Wojciech Zakrzewski, drugi Romanowski, trzeci Józef, nazwisko nieznane, czwarty Małachowski Alfons, piąty nieznany, szósty Żyd z Białegostoku Micmacher. Od lewej w górnym, środkowym rzędzie Waclaw Cimoszko. Trzeci nieznany.

Czwarty Romanowski, nie, piąty. Ja pomyliłem, tu jest Małachowski Alfons, szósty w środkowym rzędzie. A tu bodajże Józef Lewszyk, w dolnym przedostatni. Ostatni to Żydek jest. Najwyższy rząd... To sami Polacy, jeden Żydek tylko. Trzeci od lewej w najwyższym rzędzie Józef Lewszyk, on tutaj jest. Czwartego i piątego nie pamiętam

Zdjęcie nr 5, Poćma, na zbiorowym punkcie. Od lewej trzeci, u góry w czapce, Chodar (w Gdańsku mieszka).

Zdjęcie nr 6, u dołu od lewej w białej koszuli pan Wojciech Zakrzewski, czwarty u góry od lewej Małachowski, piąty Borysewicz; przezywali go "Gomółka,.. Siódmy Micmacher, od lewej stojący. Szósty stoi Lewszyk.

Zdjęcie nr 7, od lewej p. Wojciech Zakrzewski, nieznany, Misiewicz Franciszek, Józef Romanowski i Alfons Małachowski.

Zdjęcie nr 8, od lewej Wojciech Zakrzewski, Zawadzki.

Zdjęcie nr 9, Szeksna albo Uglicz, Wojciech Zakrzewski.

Zdjęcie nr 10, Wojciech Zakrzewski, Szeksna.

Zdjęcie nr 11, Wojciech Zakrzewski.

Zdjęcie nr 12, Wojciech Zakrzewski.

Zdjęcie nr 13, Poćma, od lewej Wojciech Zakrzewski i Wilczyński Witek.
Wiktor albo Witold, Witek nazywaliśmy go, był malarzem, portret mi malował, ale chory był na gruźlicę. Nie wiem, czy wrócił do kraju.

Zdjęcie nr 14, Józef Zawadzki, Kazimierz Arciszewski (razem przyjechaliśmy do kraju), Wojciech Zakrzewski i Józef dentysta – technik dentystyczny, w obozie koronki robił.

Zdjęcie nr 15, od lewej Wilczyński, z prawej Heniek Urbanowicz, oni obaj razem mieszkali osobno i obaj byli chorzy na gruźlicę. Poćma.

Zdjęcie nr 16, z lewej Aleksander Bohdanowicz, z prawej Wojciech Zakrzewski. Bohdanowicz był z pochodzenia Tatarem, od Wilna, rodzina jego w Gdansku mieszkała.

Zdjęcie nr 17, Wojciech Zakrzewski z bykiem, Uglicz.

Zdjęcie nr 18, zbiorowe. Edward Buca stoi drugi z prawej, Topol, bez imienia, drugi z prawej siedzi. Trzeci u dołu z prawej Józef Zawadzki, pierwszy Wojciech Zakrzewski, czwarty od prawej Skórka (obecnie w Wałbrzychu). Od lewej u góry Józef Talewicz. Trzeci nieznany, drugi nieznany, czwarty Buca, piąty nieznany, Poćma.

Zdjęcie nr 19, u góry od lewej w okularach Poniatowski, u dołu od lewej Wojciech Zakrzewski, drugi od lewej nieznany, trzeci od lewej Mirek Trusz – nauczył mnie fotografii, pochodził z Warszawy. Czwarty Adam Galiński – wyjechał do USA, już na pewno nie żyje, wtedy był łysy i siwy. Tego i tego nazwiska nie pamiętam. To jest Uglicz.

Zdjęcie nr 20, od lewej Wilczyński, Chodor i Wojciech Zakrzewski, Poćma.

Zdjęcie nr 21, w tle Jeżewski, na pierwszym planie Wojciech Zakrzewski z harmonią własnej roboty.

Zdjęcie nr 22, od lewej Józef Zawadzki i Wojciech Zakrzewski.

Zdjęcie nr 23, tyłem z kijem, drugi od lewej na pierwszym planie Edward Buca, drugi od lewej profilem Henryk Urbanowicz, z prawą uniesioną ręką Stacherski, w głębi w czapce z kijem. Obok z rękami do tyłu Skórka. Pochyliła się Witek Wilczyński, na gruźlicę chory. To Poćma.

Zdjęcie nr 24, Poćma. Wojciech Zakrzewski.

Zdjęcie nr 25, Urbanowicz, Wilczyński, Buca Edek, Stacherski i Skórka, przy stole bilardowym. Poćma.

Zdjęcie nr 26, Poćma, Wojciech Zakrzewski.

Zdjęcie nr 27, Poćma, Wojciech Zakrzewski.

Zdjęcie nr 28, Uglicz, Wojciech Zakrzewski.

Zdjęcie nr 29, 1 kwietnia 1956. To już po likwidacji obozu kingirskiego. Nikolsk. Brat, Henryk Zakrzewski wyszedł na wolność, już chodził bez konwoja, przyjechała do niego żona i zamieszkali razem. Z dzieckiem na kolanach Irena Zakrzewska, żona brata. Te niewiasty to z obozu. Stoi drugi od prawej Henryk Zakrzewski. To chyba chrzciny były ich dzieciątka, Janka. Trzeci od prawej Borsañ, Białorus.

Zdjęcie nr 30, od lewej Borsañ, Irena Zakrzewska i Henryk Zakrzewski.

Zdjęcie nr 31, od prawej: Franciszek Misiewicz, drugi Józef Romanowski, trzeci NN, Zakrzewski Wojciech, Wilczyński Witek.

Zdjęcie nr 32, Kazimierz Arciszewski, Zakrzewski Wojciech i NN.

Zdjęcie nr 33, Mirosław Trusz.

Zdjęcie nr 34, Adam Galiński.

Zdjęcie nr 35, Wojciech Zakrzewski.

Zdjęcie nr 36, od lewej Władysław Pietkiewicz, Kazimierz Zienkiewicz, Rymkiewicz Józef, Szeremieta Bronek.

Zdjęcie nr 37, kopalnia w Dżezkazganie. To nie ja robiłem, kto – nie wiem. W tamtym czasie [kiedy byłem] na Rudniku, jeszcze nie robiłem zdjęć.

Kiedy mnie osądzono, to, co odsiedziałem, poszło na marne — od nowa 25 lat. 3 lata więzienia w samotnej celi. Ale najpierw, po sądzie spotkałem się z bratem w Kingirze, jeszcze tam byłem bodaj dwa miesiące w obozie. Ale już był tam luz; chodziłem do pracy, mimo, że mnie to nie obowiązywało.

Pyt.: Wtedy w Kingirze było tylu samo więźniów, ilu za pierwszym Pana pobycem?

Tyle samo.

Pyt.: I właściwie nic się nie zmieniło?

Nic się nie zmieniło.

Pyt.: To już było po tym powstaniu kingirskim [latem 1954 roku]?

Nie, nie po powstaniu.

Pyt.: Gdy Pan drugi raz był w Kingirze?

Po powstaniu. Bo Heniek [Zakrzewski], brat, został [w Kingirze], a kiedy ja w ucieczce byłem, akurat tam było powstanie. Tak, to po powstaniu, tam dużo było inwalidów. Tam jak czołgi wjechały... Co prawda dużo stamtąd rozwieźli ludzi, mało kto został, ale wielu było jeszcze. Wyglądało, że obóz zapelniony. Te problemy oni rozwiązywali szybko. Transport odchodzi, transport przychodzi; jak z Ekibastusu przywieziono. I nawet ja nie pamiętam, nie spostrzegłem się, kiedy ich przywieźli, gdzie się podziali ci ludzie z Ekibastusu. Ich wywieziono z Kingiru, wiem, tam Giedroyc był, ale gdzie ich wywieziono? Oni długo nie byli w Kingirze.

Pyt.: Pamięta Pan może jakichś innych Polaków z Kingiru? Np. Korcuć Gienek?

On z Wilna pochodził, był studentem w tamtym czasie. Bardzo fajny chłop był, rozsądny, rozumny. Mój brat więcej o nim by powiedział, bo odjeżdżał z Kingiru, ale jaki to był czas, jaki rok nie wiem. Wiem, że ich grupa, Korcuć Gienek i jeszcze ktoś, z Kargandy samolotem odlecieli już jako wolni ludzie. To mi Heniek, brat mówił, bo ja tego nie pamiętam.

Pyt.: Kiedy wrócił Pan do Kingiru, był tam jeszcze Kajzer, „Kruczok”?

Nie, „Kruczka” nie było.

Pyt.: A jeszcze przed Pana ucieczką, kiedy byli ludzie z Ekibastusu, nie pamięta Pan czy „Kruczok” się np. mógł kontaktować z Giedroyciem?

Raczej tak.

Pyt.: Nie miał ograniczonej...?

Nie, bo oni tam zamieszkali w *ziemlankach*, cały etap z Ekibastusu. W *ziemlankach* zakwaterowani i nie byli od nas odseparowani; ja poznałem się przecież z Giedroyciem tam. Tylko że mówię: była jakaś taka nieufność, chociaż to byli sami polityczni.

Pyt.: I ona nie została przełamana?

Takie przysłowie jest: jak się sparzy na mleku, wówczas i na krowę się dmucha. Tu tak samo.

Pyt.: Czy słyszał Pan może taką nazwę Dubowka?

Słyszeć słyszałem, ale gdzie to się znajduje — nie wiem.

Pyt.: Czy tam były też zamieszki?

Nie, nie wiem.

Ale skończmy o tym sądzie. Po sądzie, kiedy osądzono mnie, jeszcze Heniek [Zakrzewski, brat] był w Kingirze, ale już tak wyglądało, że cały reżim obozowy upada. Jeszcze to wszystko trzymano sztywno w karchach.

Wywieziono mnie z Kingiru do Władymira, niedaleko Moskwy. Tam jest ciężkie więzienie, cały kwartał potężnych bloków, 16 czy ile. Wrzucono mnie do celi, nie pamiętam jej numeru. Zachodzę do tej celi, potulny ptaszek. Słyszę — po niemiecku rozmawiają, po rosyjsku. Jeszcze z taką nieufnością, człowiek zawsze nastroszony — trzeba wyczuć co to za sytuacja, co za ludzie. Okazuje się, że ci, co po niemiecku rozmawiają, to są niemieckie wyższe szarże oficerów, siedzą tu jeszcze od wojny. Niżej pułkownika i generała chyba nie było, sporo ich. Wtedy we Władymiru był słynny Paulus, niemiecki generał, który poniósł klęskę pod Stalingradem. Ja go nie widziałem, ale w czasie, kiedy tam przyjechałem, ponoć on jeszcze był we Władymiru, potem go wywieziono.

W więzieniu, mimo iż głód, nędza potworna, ale pod względem sanitarnym — tam wszy nie znalazłeś. Do łaźni co miesiąc ganiali, bieliznę dawali czystą. Tam bieliznę!

Pyt.: Czy słyszał pan we Włodzimierzu o Wysockim Henryku?

Nie.

Pyt.: A o Worobiowie?

Był jeden tak, że znałem, początkowo siedział po sąsiedzku w celi, ja pierwszy przyjechałem, jego później przywieźli — Franek, Polak. Także za ucieczkę. Jego kolegę też przywieźli do Władymira, pamiętam nazwisko — pilot rosyjski Gańczyn. Grupowo uciekali, rozbili konwój, broń zabrali; oni z tej broni nie korzystali, bo nie było sensu.

Pyt.: A skąd uciekali?

Oni uciekali. Nie z *Workuty* czasem? Tam, z północnych obozów, gdzieś w pobliżu rzeki Pieczory był obóz. Miejscowość, jak bym do mapy zajrzał, to bym przypomniał, jest na mapie. Po sąsiedzku wrzucili do celi tego uciekiniera Franka. Zaraz telefony, kontakty więzienne, szybko. Alfabet Morse'a na pukanie; chociaż strzegli, co chwilę przez judasza strażnik z korytarza zaglądał. Mimo zaglądań wszystko jedno, swoje czyniliśmy, co pasowało dla nas. Jak wrzucili tego Franka do celi, nazajutrz przyszła do nas wiadomość, że przybył taki i taki, za to i za to, z takim i takim wyrokiem, takie nazwisko. Ja widzę, że polskie nazwisko. Skontaktowałem się później już osobiście z

Frankiem. Jak jego nazwisko było, nie przypomniałem. „Ja za ucieczkę, a ty za co siedzisz, Wojtek?” Ja mówię — „też za ucieczkę. Dostałem 3 lata celi samotnej”. „Ja także — on mówi — 3 lata celi więziennej”.

No i siedzimy, Niemcy. Później jeszcze był jeden ze mną w celi we Włodzimieru, Ukrainiec pod nazwiskiem Kluczycki. Pseudonim pamiętam „Szmur”, jak imię? Młody chłopak. Siedział za to, że zgładził bodajże trzech donosicieli w obozie. Dostał od razu karę śmierci, ale później zamieniono na 25 lat więzienia. Nie obozu, ale więzienia 25 lat. Pochodził z byłych terenów Polski, po polsku rozmawiał.

Pyt.: Z UPA był?

Nie wiem za co sądzili początkowo; ten wyrok, który we Włodzimierzu odsiadywał, 25 lat, to trzech zgładził.

Pyt.: A w jakim obozie?

Nie wiem, nie pamiętam.

Pyt.: A w tym więzieniu nie zdarzyła się jakaś większa awantura, np. całe skrzydło wali w drzwi, czegoś się domagają?

Wiem, że to zaistniało. Tam nazywali korpusy. Ten korpus, w którym ja się znajdowałem, w tym korpusie to nie zaistniało. Ale wiem, że to było.

Pyt.: Czy te korpusy były podzielone pod względem reżimu, że były cięższe korpusy i lżejsze?

Nie jestem w stanie powiedzieć. Tam wszystko ciężkie, Włodzimierz to było potworne więzienie, reżim.

Siedzimy z tymi Niemcami, wkrótce jak mnie przywieziono, raptem Niemcy zaczynają otrzymywać paczki z Czerwonego Krzyża. Paczkami ich zasypali. Standartowe takie paczuszki, 3 – kilogramowe, ale same treściwe, dobre rzeczy. To już ożyliśmy, i ten Kulczycki „Szmur”; już nie braliśmy więziennej *balandy* — kasza, ryby zgnile, „*komsa – komsa*” — takie małe rybeczki. Przychodziło prawie każdy dzień kilka paczek, nieraz na jednego osobnika, Niemca, przychodziły trzy, cztery paczki 3 – kg. A nas siedziało sześciu w tej celi; żywności wystarczająco. To władze więzienne: „A, to niedobrze”. Później Niemców odseparowano od nas, zostaliśmy sami. No i znów przeszliśmy na więzienną *balandę*.

I pewnego dnia, latem, rok 1955 może, słyszymy na podwórku więziennym ruch, jakieś głosy, szmery, gadanie jakieś, tupot. Nie wolno było zaglądać. W celach w całym korpus, gdzie siedziałem, okna wysokie jak kościelne, ponad głowę parapet był. Stało się na krawędź łóżka, łóżko żelazne przykute do podłogi, i zerknęło się, co się dzieje. Patrzymy — całe podwórko wypełnione Niemcami, w mundurach niemieckich, białe postacie... Oni tam siedzieli od wojny, a to rok był 1954 czy 1955. Bładzi, jak ściany. Ale już wypasieni na paczuszkach z Czerwonego Krzyża, już pełni, nie pogarbieni. Wyszukowano ich na wywóz. Mieli w depozycie więziennym swoje umundurowania wojskowe. Jak kiedyś zdjęto z nich generalskie dystynkcje i epolety, tak teraz od nowa to nakładali. Czapy z trupimi główkami, znowu ponakładali to wszystko. Ryk samochodów, załadowano ich, ponoć zawieziono na stację. Do Niemiec.

Pyt.: Czy to wywołało jakieś zamieszki w więzieniu, np. reakcje Polaków, Ukraińców?

Pośród narodowości?

Pyt.: Tak, wśród tych, którzy zostawali w więzieniu?

Raczej nie, wśród narodowości to trudno było, żeby na udry iść. Tam rozmaita narodowość, Chińczyków i Japończyków, Estończyków, Litwini, Łotysze, Polacy i Rosjanie, i Ukraińcy.

Pyt.: Jacyś Japończycy siedzieli we Włodzimierzu?

We Włodzimierzu nie spotkałem Japończyków, w obozie tak. Taki był Oda, Japończyk, oficer japoński, siedział jeszcze od wojny, w okularach chodził. W Kingirze. Jeszcze jeden był Japończyk oficer... Ale ich raczej mniej było, ich organizacja narodowościowa nie istniała. W obozie, w Kingirze pośród kilkunastu tysięcy więźniów, ich więcej jak dziesięciu nie było. Tak samo i Chińczyków, i Koreańczyk byli. I Amerykanie, i Anglicy, i Francuzi.

Pyt.: Długo Pan przebywał we Włodzimierzu?

Niecałe 3 lata. Później wywieziono mnie do obozu. Jechałem prawie miesiąc statkiem do Magadanu, tam kopalnie złota, *złotyje pryski*. Przywieziono mnie tam, zamieszkałem w baraku. Nie mnie jednego przywieziono, cały transport. Nas przywieziono do Magadanu, to jest port, a miejscowość ta za Magadanem, gdzieś 300 km od Magadanu, tam kopalnie złota były.

Pyt.: Jak się nazywała miejscowość?

Na myśli mam, ale...

Pyt.: Duża miejscowość czy raczej posesiołek?

To nie *posiołek*, to po prostu obiekt roboczy, obóz. Wszystko więźniowie pracowali, kopalnia złota. No i pracuję chyba miesiąc i znowuż mnie wołają, „*sobirajsia*”, zbieraj się z rzeczami. Zbieram się z rzeczami. I znowu na transport, na statek, wiozą ze dwa tygodnie z tego Magadanu. Przywożą do Workuty, tam kopalnia węgla.

Pyt.: Tylko statkiem pan tam jechał?

Tak. Cały etap więźniów, w statku było nas jak śledzi.

Pyt.: Nie pamięta pan nazwy statku?

Nie pamiętam i nie wiedziałem tego, bo nie w stanie obejrzeć; w lochach statku — tam się znajdowałem. Przywożą do Workuty, zatrudniono w kopalni węgla. Popracowałem znowu miesiąc, może mniej, znowu „*sobirajsia*”. Znowu mnie za lumpy i znowu wloką.

Pyt.: Jak Pan był na Workucie, jaka to była pora roku, lato?

Z Włodzimira jak wyjechałem do Magadanu, to trwało może miesiąc, jesień to była, ale jaki miesiąc nie pamiętam.

Pyt.: Ale dzień był czy noc?

Dzień, bo tam noce polarne także są.

I znowu mnie zabierają [z Workuty] i przywieziono mnie do Wołogdy do więzienia. Myślę: „co za pierun, czemu mnie tak wożą?” W końcu się dowiedziałem. Ludzi, którzy uciekali z więzienia, z obozu, tak traktują; nie wierzą im. Jak przychodził transport więźniów do obozu czy więzienia, politruk przeglądał dokumenta: „Aha, tego sądzili w Kingirze za ucieczkę, statia 82, znaczy: uciekinier. To jego już i nie ma...” Każdy pozbywał się, żeby tylko nie odpowiadać za takiego, bo to element niebezpieczny.

Przywieziono mnie do Wołogdy, w więzieniu spotkałem się z Józkiem Romanowskim, Franek Misiewiczem. Przywieziono mnie z Wołogdy do obozu do Szeksny. Tam dłuższy czas byłem, nie pamiętam ile, ale to także długo nie trwało. Później przywieziono mnie do Uglicha do obozu; najlepszy obóz. I później z Uglicha do Poćmy. Tam już zbiorowy punkt. Tam był także obóz więźniów, i już zorganizowane miejsce gdzie gromadzić Polaków.

Pyt.: Tylko Polaków?

Tylko Polaków. Było tam paru Białorusinów, ale czy oni przyjechali [do Polski]? I Ukraińców, taki Klimow był, niby udawał Polaka; ale narodowości ukraińskiej byli. Wątpię, żeby stamtąd się wyrwali. Jak przyszedli do nas w 1939 roku Rosjanie, armia oswoobodziciele, jak spis ludności zaczęli wprowadzać w 1939 roku jeszcze, to nie honorowali „Polak”. *Wsio ruskie, Białorusy, Białorusy*. Nie chcieli pisać, jak mówisz Polak — *kakoj s ciebia Palak, Białorus*. Kto się utrzymał temu pręgiarzowi, teraz miał szansę wydostać się stamtąd, a kto tylko napisał dla świętego spokoju, że Białorus — został, nie miał szans do Polski wyjechać.

Pyt.: I tam już w Poćmie był Buca, Urbanowicz?

W Poćmie. Chociaż ja Urbanowicza i przedtem znałem. W Kingirze, gdzie był „Kruczok”, tam dużo. Zenek [sic! *Jak jest w nagraniu?*] Urbanowicz miał brata jeszcze, tylko że to brat był nie jednego ojca, pod innym nazwiskiem, nie pamiętam nazwiska.

Pyt.: W Kingirze byli obaj?

Tak, obaj byli. Kajzer to [?].

Pyt.: I Urbanowicz siedział w BURze, razem z Kajzerem, czy był na zewnątrz?

Bodajże nie, bo ten brat jego nie siedział. Kiedy jeszcze w obozie, kiedy ja przyjechałem i zawiązały się te...

Całkowicie odseparowani byliśmy, polityczni, od elementu kryminalistycznego, powstały organizacje, w tym polska. Tam ten Kajzer należał, był Zborowski Adolf, jego nazywali „Hitler”, morowy chłop. No i ja byłem w organizacji tej, ale moja czynność była tylko taka. Organizacja tylko do stłumienia donosicieli obozowych, zniszczyć ich. Moją rzeczą było tylko sprzęt szykować. Ja w warsztacie pracowałem, później jako tokarz; to moja była robota.

Pyt.: To było powiedziane wyraźnie — Pan ma robić noże, natomiast nie zajmować się np...

Nie, to nie było powiedziane, ale tam automatycznie podział istniał.

Pyt.: A kto od pana odbierał te noże?

Najwięcej odbierał właśnie tego Heńka Urbanowicza brat, nazwiska nie pamiętam.

Pyt.: A jak miał na imię?

Nie pamiętam już. Pamiętam, jak wyglądał i na zdjęciu go miałem. On zabierał [noże] i oni tam działali. Ja o tych rzeczach wszystko wiedziałem. Później jeszcze Józek był, dobry szpec do tych spraw w organizacji, Mojzer czy Moździerz, to nazwisko tego Józka.

Pyt.: A Stawryłło? Był studentem z Wilna.

Niby to coś mi znane, ale...

Pyt.: A Kizior?

Być może spotykałem, ale to nie w stanie spamiętać. Tyle ludzi się wtedy spotykało.

Pyt.: A Legun?

Jak jego imię, Leguna... Pochodził z Woronowa, bliski sąsiad tego Mickiewicza, [z którym uciekałem]. Nie Heniek imię było tego Leguna?

Pyt.: Józef. Czy on też był w organizacji?

Nie umiem powiedzieć. Ale Leguna to ja spotykałem nie w Kingirze; na Rudniku [DZEKAZGAN] Legun był. To był bliski sąsiad Mickiewicza, Wacława Rodziewiczza, co pierwszą ucieczkę szykowaliśmy.

Pyt.: Jeśli mówimy o ucieczce, kto zaczął ją organizować, kto był tym pierwszym, który pociągnął za sobą resztę?

Jak tu odpowiedzieć. Każdy chciał na wolność, tylko nie każdy miał odwagę ku temu.

Pyt.: Ale czy to Pan zaczął namawiać do ucieczki, czy Pana zaczęto namawiać?

Doszło do takiego porozumienia, ani bez namowy, ani nic. Tak jak ta ucieczka, co uczyniliśmy — ani mnie Antek Mickiewicz namawiał, ani ja jego. Obopólne dojście do takiego porozumienia i zaczyna się organizować.

Pyt.: A w tej planowanej, która nie doszła do skutku, w 4 osoby, czy ktoś pełnił rolę przywódcy, kierował?

Tam najbardziej był wybitnym... Tam kierować, każdy spełniał jakąś funkcję i nie było łaski, jak decyzja zapadła, że czynimy. Nie było łaski, żeby się nie starać o żywność, o jakiś sprzęt. Najbardziej taki wybitny, z młodych, energiczny to był Biały. Ja nie chwalebę się, ale tam wszyscy byli młodzi ludzie, energiczni. Ze mnie teraz zostało nic, ale kiedyś także byłem energiczny.

Pyt.: Czy mieliście jakieś swoje schowki, np. na ten cukier; 10 kg to dosyć dużo?

A jakże, a jakże. W kopalni. W kopalni, gdzie pracowałem, wyrobiska były takie, że samolotem byś pan latał, pod ziemią. Spójrzeć do góry to nie widać sklepienia.

Pyt.: I wśród kamieni ukrywaliście?

Wśród kamieni. Tam nic nie ruszyło, ani myszy nie ma; z tym, że trzeba dobrze maskować.

Pyt.: Czy słyszał Pan o Berdowskim?

Berdowski... ja słyszałem.

Pyt.: Mógł Pan go też spotkać w Groznych w więzieniu.

Berdowski. Czy nie był on czasem na Rudniku [Dżekazgan] i nie miał czasem kolegi Orski Romek? Zdaje mi się, że oni kolegowali we dwójkę. Orski Romek przyjechał [do Polski] nie wiem kiedy, w Warszawie mieszka, mam adres. I bodaj że on coś o Berdowskim powie, tak mi się mrzy. Że był w jednej brygadzie, ale czy żyje... Ja byłem u niego kiedyś, on żonę przywiózł Rosjanę stamtąd.

Pyt.: Wspomniał Pan na początku o Poczobucie, którego zabito za nadgorliwość?

Za co zabito? Przez to, że był człowiekiem pracowitym i wydajnym dla ustroju bolszewickiego, prosta sprawa.

Pyt.: A wspomniał Pan, że nawet być może Polacy go załatwili?

Taka wersja była.

Pyt.: Czy ma Pan może podejrzenia, kto mógł?

Nie, tego nie.

Pyt.: Czy to był jedyny Polak, którego zabito w obozie?

Wiem, że jednego Polaka konwój zabił, ale donosiciele z Polaków to raczej nie słyszałem, w naszym obozie tego nie było.

Pyt.: A Poczobut był w Kingirze?

Nie, w Rudniku [Dżekazgan], w kopalni pracował. I tam na miejscu, gdzie on pracował... Opowiem, jak wyglądała praca w kopalni. Kiedy zmiana wychodziła więźniów, przychodziła zmiana wolnych. Więźniowie tylko wierceili głębokie otwory w skale. A wolni przychodzili kiedyśmy wychodzili. Przychodzili, zakładali materiał wybuchowy, odpalali, to wszystko kruszyli i tak zostawało. Wolni swoją misję spełnili. Kiedy myśmy przychodzili, naszym zajęciem było to wszystko wygarnąć do luków, na tzw. sztrech, chodnik kopalniany; na wózki ładować i wszystko wywieźć na estakady. To dzienne zmiany, a w nocy tylko pod ziemią praca, już na estakadę nie wywożono urobku.

Pyt.: Czy słyszał Pan o ucieczce Urbanowicza z Dżekazganu?

Nie. Ja tylko słyszałem o ucieczce Urbanowicza z książki Sołżenicyna, ale czy to ten Urbanowicz Zenek to nie wiem. Urbanowicz Zenek był i w Kingirze, nie wiem, czy był na Rudniku [Dżekazgan]. No i Urbanowicza brat, ale nazwiska nie pamiętam.

Pyt.: A jaki był Urbanowicz Henryk, Pan się z nim zetknął?

On już sporo lat był chory na gruźlicę. Powiedziałbym tylko same o nim pozytywy, ale dogłębnie to nie znałem.

Pyt.: Ale schorowany był w Poćmie dopiero czy już w Kingirze?

On chory był przedtem, ale w Poćmie to on już... Oni mieszkali we dwóch, Witek Wilczyński i Heniek, w separacie mieszkali. Witek Wilczyński jeszcze dobrze wyglądał, jest na zdjęciu, ale Heniek to taki już był. A co z nim się stało... Kiedy ja odjechałem, odwieziono nas z Poćmy do Polski, 36 przywieziono nas do Łęczycy w 1958 roku, wiosną.

Pyt.: Kto jeszcze był w tej grupie?

Do Łęczycy przyjechali ze mną: Arciszewski Kazik, Cimoszko Wacław, Józef Zawadzki (z Gdańska), Chodor, Romanowski Józef, Franciszek Misiewicz.

Pyt.: A Buca?

Buca nie. On, na ile mnie pamięć nie myli, pochodził gdzieś od Tarnopola, z tamtych stron, ale razem on nie przyjechał ze mną.

Pyt.: Znał go Pan dobrze w Poćmie, stykaliście się, kolegowali?

Na temat Bucy krótko bym powiedział, że to był typ dosyć zamknięty w sobie. Byliśmy na tym zbiorowym punkcie [w Poćmie], na spacerach naokoło, mieliśmy jeden budynek drewniany. Początkowo do roboty jeszcze chodzili, kto chciał, płacono pieniądze. Ja także chciałem pójść do roboty, ale jak tylko zobaczyli, że paragraf 82, że za ucieczkę byłem skazany, to „odpada”.

Pyt.: Tzn. Buca był niedostępny, niesympatyczny dla innych?

Nie, sympatyczny był, w spotkaniu... W Poćmie siedzieliśmy prawie 2 lata. I w tej bezczynności każdy dobrał do siebie, ja np. bardzo blisko byłem: Józek Zawadzki, co w Gdańsku, Józek Lewszyk, Kazik Talewicz, stary akowiec; spotykaliśmy się.

O Talewiczu krótko opowiem. Jedziemy z żoną z Kutna, rok 1978 czy 79, stoję na korytarzu, przepełnienie, już noc była. Zapaliłem papierosa i tak mimo woli patrzę na jednego człowieka, jakoś mi się rzucił w oczy. Przyglądam się mu, w końcu mi się przypomniało, to Kazik. Żonie mówię: „Coś ten człowiek mi znajomy”. A żona: „Ty jak wypijesz to zawsze znajomków szukasz”. Podchodzę, przeprosiłem tego gościa i pytam: „Czy nie ma Pan czasem na imię Kazik?” Patrzy na mnie, „A co, jeśli Kazik? A pan kto?” A ja mówię: „Kazik, a nie pamiętasz tego Wojtka, co w Poćmie fotografie robił?” „To ty, Zakrzewski?” On mieszka gdzieś pod Warszawą, Prabuty? Zabrałem go do siebie, do domu. Pogościliśmy sobie, powspominaliśmy, popiliśmy i obiecaliśmy, że będziemy trzymali kontakt. Ale jakoś się urwał; nie wiem, czy żyje.

Pyt.: A o Kajzerze już w Polsce Pan nie słyszał więcej?

Kingirze

Nie.

Pyt.: A jaki był Kajzer?

Taki szczupławy chłopaczek, ciemne włosy miał, duże dwie bruzdy, nos krótki i kartoflowaty.

Pyt.: To był typ zabijaki czy spokojny, cichy?

Nie, to nie był zabijaka, na ile go znałem. Nie wiem, za co został osądzony, dostał się do obozu.

Pyt.: A czy chodziły słuchy o morderstwie na parunastu donosicielach w Dżezkazganie? Podobno Polacy mieli tego dokonać jednego dnia.

W Kingirze został zabity jeden Rosjanin, na oczach mego brata Heńka [Zakrzewskiego]. Pracowaliśmy razem na *ubogatielnoj fabryce*. Heniek coś tam z drewna robił dla obozowego dozoru, jakieś fuchy w każdym razie, i brakło mu kleju stolarskiego. A tam była masa pomieszczeń niewykończonych, luźne przejścia, jeszcze bez okien i drzwi, same ściany surowe, z cegieł murowane. Więc mój brat, Heniek, idzie po klej po zakamarkach fabrycznych. „W jednym pomieszczeniu – opowiadał – raptem mijają trzech osobników. Białokupow [?] z przeciwnej strony szedł i w drzwiach się spotkali z Białokopytowem. Tylko widzę, że mają pręty zbrojeniowej stali, takie długie. Jak nie przyłożą, jeden, drugi i trzeci w łeb temu Białokopytowowi... Ten tylko dzikiem takim głosem i upadł. A tamci poszli. To – mówił Heniek – jak nie zawinę kopyta z powrotem...” Bo świadek naoczny, najść na takie coś – mogą i jego zgładzić. Ale do Heńka nic nie mieli pretensji; tylko wiem, że to były Ukraińce, Heniek ich znał.

Pyt.: Czy Ukraińcy mieli mocną organizację?

Najsilniejsza była ukraińska, ich najwięcej, najbardziej byli zorganizowani. Rosjanie mieli organizację, ale im te sprawy może mniej bolesne były, bo oni cały czas od małych lat, od zarania do tego motłochu przyzwyczaili się. A Ukraińcy szczególnie z Ukrainy *Zapadnoj* – Lwów, Drohobycz, Borysław, Tarnopol.

Pyt.: A czy były konflikty pomiędzy organizacjami, np. ukraińską i rosyjską?

Raczej nie, jako narodowościowe to ja nie pamiętam. Zatargi mogły być w jakichś obozach kryminalistów, ale tu, w politycznych obozach, to nie istniało. Tu jedność musiała być. Tu żeby jeden od drugiego porwał tzw. *pajkę*, dawkę dzienną chleba, za to można było zapłacić głową. Nie miało prawa złodziejstwo być, musiała być dyscyplina pod tym względem. Nie miał prawa być pokrzywdzony jeden więzień przez drugiego.

Pyt.: A czy słyszał Pan o jakichś nazwiskach wśród Ukraińców, czy były znane *kliczki* bądź nazwiska?

Nie. Dużo tam nazwisk bym przypomniał, ale...

Pyt.: W każdym razie ci przywódcy byli znani, mógł Pan podejść i wiedział...

Nie, ani Ukraińcy naszego przywódcy nie znali, ani my ukraińskiego.

Pyt.: Powiedział Pan „naszego przywódcy”. Czy był jakiś wśród Polaków przywódca?

Ktoś musiał być.

Pyt.: Ale Pan go nie znał?

Ja osobiście nie znałem, a wiem, że był. Ja spełniałem swoje funkcje – robienie noży, to była moja funkcja.

Pyt.: Gdyby Pan np. odmówił robienia tych noży, to co by się mogło stać?

Nie wiem, nie chciałbym deklarować tak. Zmusić nikt by mnie nie zmusił, straciłbym wiarygodność swoją wśród swoich, wśród Polaków.

Pyt.: Ale tylko tyle? Nie groziło nic za to?

Raczej nie. Jeśliby wywęszyli... W obozie pomimo to, że to jest zespół zgrany, ale jeden drugiemu nie wierzy. Założymy, wołają kogoś do politruka. To ukrywać tego nie można, trzeba powiedzieć – jestem wezwany do politruka, do tzw. *kuma* obozowego. Pytają: „Za co cię wołają?” Nie wiem, na co mnie wołają. A jak się wyjdzie, zaraz pytanie pierwsze: „Co od ciebie chcieli?” To i to. I tam kręctwo nie ma prawa być, bo wtenczas dopiero łeb może...

Pyt.: Mniej więcej ile Pan tych noży zrobił?

Czy ja wiem...

Pyt.: Ale 100?

100 to nie, mniej. To taka funkcja niby łatwa była i bezpieczna, ale przynieść w obręb obozu z *zony* pracy nóż, to był problem.

Pyt.: Pan przynosił te noże?

No a kto?

Pyt.: Czyli Pan dostarczał na obóz?

Na obóz dostarczałem. Do tego te rewizje. Nieraz przychodzi się pod bramę i rozbierają do naga, posadzą na ziemi, wszystkie ciuchy szukają – nadzór obozowy.

Pyt.: Czy o Worobiowie słyszał Pan w obozach?

To nazwisko jest tam dosyć popularne, ale czy akurat w obozie ja z takim nazwiskiem się spotykałem...

Pyt.: Nikołaj Worobiov.

A gdzie on mógł być? W Kingirze?

Pyt.: Mógł być. Także w Dżezkazganie, w Workucie.

Dużo jest Polaków, co wróciło ze mną, może który i pamięta; każdy coś pamięta.

Pyt.: A Konstanty Gibowski był w Kingirze?

W Kingirze. Ale on zabity był... Tu już luz... Ale mnie jeszcze nie było, brat opowiadał. To bliski mój sąsiad. Było tak. Kiedy już obóz w Kingirze chylił się ku upadkowi, tam były wolne przejścia. Miał dziewczuszkę swoją w obozie

żeńskim. I szedł pomiędzy dzieuszki. Przechodził przez jakąś lukę w murze, tam zwisał drut wysokiego napięcia i on zawadził.

Pyt.: To było w czasie, kiedy Pan był w obozie?

Nie wiem, w jakim to czasie było. Fakt, że był już luz w obozie, w Kingirze; Gibowski luką [w murze] wychodził.

Ung
Nie pamiętam czy z elektrowni wracaliśmy... Wracamy z pracy i Litwin zachował się nie tak jak trzeba – czy ręk do tyłu nie trzymał, a należało, jest taki przepis... Nie wiem jaki początek był tego zajścia. No i konwój zatrzymał całą kolumnę, z tyłu zawsze karabin maszynowy jechał.

Karabin maszynowy z tyłu jechał, a każdy prawie konwojent z psem szedł. No i zatrzymują kolumnę i zaraz „siadać wszyscy!”. Posiadaliśmy na ziemi, a jeden nie siada, stoi. „Sadis’ – dowódca konwoju przyszedł do niego – poczemu ty nie sadiszia?” „Nie budu.” Konwojent przygniótł go do ziemi, a ten jak się odwinie, jak trzaśnie konwojenta w łeb, to ten na nogach utrzymał się, ale czapa mu poleciała. Cały konwój się zleciał, zarepetowali broń, „łażities!”, położyli nas wszystkich – a ten stoi. Ja znałem tego Litwina, nie pamiętam nazwiska, Heniek może by pamiętał. „Wychadi!”. Ten zaraz wyszedł z kolumny. Tylko nie pamiętam, kto strzelił do niego – dowódca konwoju czy inny żołnierz. No i zastrzelili.

Postępowanie tego Litwina to też było takie szukanie śmierci. Wiedzieliśmy, co grozi. A było tak, podobne zdarzenie, że nic konwój nie zrobił z tego wszystkiego. Widocznie naczelnik konwoju – bo [wtedy] naczelnik konwoju także trzasnął w pysk więźnia – miał trochę poczucia godności i ludzkości w sobie i nic z tego nie uczynił; przyprowadzili do obozu i na tym się skończyło.

Pyt.: Czy Buca i Urbanowicz przyjaźnili się w Poćmie?

Ja specjalnie nie zauważyłem tego, żeby się przyjaźnili. Heniek Urbanowicz, jak w Poćmie byliśmy, specjalnie nigdy się nie wtrącał, bo choroba już go przygniatała. Taki zmizerowany chodził.

Pyt.: Był wyraźnie słaby fizycznie?

Oslabiony przez chorobę. W Poćmie wyżywienie mieliśmy dosyć dobre, jak na warunki. Do tego, kto miał pieniądze, można było kupić. Kiosk – przywożono chleb, margarynę; nieatrakcyjne to produkty, ale zawsze coś.

Pyt.: A Urbanowicz miał pieniądze? Buca?

Nie wiem.

Pyt.: A chodzili do pracy?

Początkowo, kiedy zawiązano zbiorowy obóz dla Polaków, [więźniowie] chodzili gdzieś do pracy, ale kto chodził – nie pamiętam.

Pyt.: A Urbanowicz w Kingirze był w tym samym łag – punkcie co Pan?

Uw
Tak. I brat jego, ten pod innym nazwiskiem (z jednej matki byli a inny ojciec). Który z nich młodszy był, nie pamiętam.

Pyt.: Czy była w Poćmie taka sprawa, że podejrzewano Polaka o donosicielstwo i niemalże go załatwiono?

Jeśli chodzi o Poćmę, to ja pochlebnego zdania nie mam co się tyczy Polaków, tam rozmaicie było. Może wpłynął dłuższy okres oczekiwania na wyjazd. Tam wszystkiego było – i bójek, i mordobicia... I każdy to widział. Ja tam do tego nigdy się nie wtrącałem i wroga nie miałem, ale widziałem wszystko. To dalece nie w porządku było.

Pyt.: A bójki były na tle tego, że ktoś kogoś oskarżał?

Nie, nie oskarżanie, ale jakieś osobiste waśnie zachodziły; grali w karty, jakieś nieporozumienia. Wiśniewski Heniek, z Białegostoku, na zdjęciu jest, ponoć nie żyje, ze mną nie przyjechał do Polski, nie wiem kiedy przyjechał.

Pyt.: Czy te bójki dotyczyły wszystkich czy była wyraźna grupa?

Stworzyła się grupa chuliganów, bym powiedział. Czego oni szukali, czego żądali, jaka waśń tam mogła być, co dzieliło, ja nie umiem na to powiedzieć.

Pyt.: Kto należał do tej grupy?

Należało sporo. Na zdjęciu jest i Chodor, on trochę brał w tym udział, i Łokieć [Łokuć?], oni tam działali.

Pyt.: A Buca?

Raczej nie, on niechący. Niepotrzebne były te waśnie, tam nie było o co. Każdy czekał, wyglądał – jak stamtąd się wy dostać. Ja podejrzewam, że to beczynność, rok się czekało, drugi rok się czeka, ludzi zmęczyło czekanie. Gdyby jakieś zajęcia, praca...

Pyt.: Ale nie przypomina Pan sobie takiej sytuacji, że jeden z Polaków był oskarżony i niemal doprowadzono do jego likwidacji?

W Poćmie, na tym punkcie zbiorowym? Nie, nikt nie zginął.

Pyt.: Czy pamięta Pan swego brygadzystę z Kingiru i Rudnika?

W Kingirze ja nie w jednej brygadzie byłem, ale ta brygada znana, jej brygadystą był Janos Bery, z Budapesztu, inżynier. To była potężna brygada, która prowadziła tzw. *santechniki*, wykonywaliśmy kanalizację, wentylację, wodę. I była brygada blacharzy, ja do blacharzy należałem. Janusz Bery był głównym szefem, który prowadził to; bardzo nienawidził Ruskich. A moim szefem był taki stary, carski oficer, Andriej Smołow, był carskim oficerem, jak przyszła władza radziecka także był oficerem w wojsku. Początkowo Armia Czerwona chodziła bez naramienników, po wojnie wprowadzili naramienniki. W 1939, kiedy przyszła *Krasnaja Armia* do Wilna, mieli trójkąciki – podoficerowie, kwadrat – młodszy oficerowie, prostokąt – wyższy oficer. I kiedy wprowadzano po wojnie naramienniki, to Smołow i

wielu innych, cała armia była osądzona, tych naramienników nie ponakładali. Mówią, że za cara były epolety, a tu nie głosi konstytucja, żeby Czerwona Armia była z epoletami, z naramiennikami. Dostali po 25 lat.

Pyt.: Co się stało z Mickiewiczem? Czy później miał Pan kontakt?

Nie, nie miałem kontaktu, słyszałem wersje rozmaite. Jedna wersja to ponoć tam na miejscu, gdzie była jego żona, w kolchozie Woroszyłowa, zachorował i zmarł. Druga wersja była taka, że został zastrzelony na motorówce, uciekali do Szwecji; został zastrzelony, z Polski uciekali.

Gdy przywieziono mnie do Polski i wypuszczono na wolność, to stróż za mną chodził. Gdzie się zgłosiłem, tam już przychodził do mnie z komendy milicji i każdy jeszcze pogroził. Języka za zębami nie trzymałem, opowiadałem wszystko, gdzie byłem, co przeszedłem, jak tam było, jak tam jest; i nikt na mnie nie doniósł.

Pyt.: A od kogo się Pan dowiedział, że Mickiewicz miał być postrzelony na motorówce?

Nie pamiętam. Dostyc to było głośne.

Pyt.: A kiedy on miał uciekać, według tej pogłoski?

Nie wiem, ale nie ma co o tym myśleć, to jest nieprawda.

Tutaj mieszkałem [w Słupcy], otrzymuję wezwanie z komisariatu milicji, gdzieś w 70—tych latach, przed 1980 rokiem. Dostaję wezwanie na komisariat. Na dyżurce pytam gdzie ten pokój, pokazuję wezwanie, milicjant wstaje, mówi, że na piętrze. Idę tam. „Wejść”. Wchodzę. Siedzi jakiś młody przystojny gościu po cywilnemu za biurkiem, ja podaję kartkę. A on do mnie zwraca się w te słowa: „Proszę pana, gdzie jest pański kolega?” Ja początkowo nie wiedziałem o co chodzi, o kogo? „O jakiego kolegę panu chodzi?” Ten się zastanawia, myśli, myśli, nie może sobie przypomnieć, do marynarki, do kieszeni sięga i skrawek papieru, patrzy, „Antoni Mickiewicz”. Ja mówię: „Proszę pana, jeżeli chodzi o tego Antoniego Mickiewicza, to teraz nie wiem gdzie on jest”. I jego pytam, tego śledczego: „A pan kojarzy tę sprawę, o co tu chodzi?” On mówi, że nie, nie kojarzy. „To ja panu opowiem, to pan uwierzy, że mam prawo nie pamiętać. To było w roku 1954, byłem tam skazany, byłem w Kingirze, Rudniku Dżezkazganie, i z nim uciekałem. W tej ucieczce myśmy się rozproszyli, co dalej z nim się stało nie wiem. Mnie złapano, osądzono, jeszcze siedziałem dłuższy czas”. „A może pan wie jego rodzinę?” Ja mówię „Nie. W Związku Radzieckim jego adres znałem na pamięć, mogę służyć tym adresem”. No i skończyło się. Więc tak wnioskuje. Żeby został zastrzelony za ucieczkę na motorówce do Szwecji, to jego by teraz nie szukali. Jak zastrzelili, to by wiedzieli, że go nie ma. A jego do dzisiejszego dnia nie wiedzą władze rosyjskie, nasze to chyba mniej obchodzi; ale był czas, że obchodziło i nasze władze.

Pyt.: Z jego żoną też się Pan nie zetknął?

Nie. Jak byłem w Związku Radzieckim w 1958 roku, chciałem w tę stronę pojechać i poszukać, może coś się dowiem. Ale nie pojechałem, tam nie jest blisko, *Woronowski rejon, Grodzieńska obłast*. A wiem, że brat jego był w Poznaniu, Józef Mickiewicz, syn Józefa.

Pyt.: A Andrzejewski? Czy słyszał Pan, w Kingirze albo Dżezkazganie?

To nazwisko polskie, Andrzejewski z Kraśnika.

Pyt.: Orski Pan zapisał Roman, to jest jego imię?

Tak. Jego nazywali Romek stale.

Pyt.: Przyjechał Pan do Włodzimierza 18 lutego 1955.

[koniec]